

NIECH ŻYJE 1 MAJA — ŚWIĘTO PRACY

odgłosy



18 (511)

4. V. 1969 r.

Cena 1.50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XII

Dziś w numerze: Poeta majowego święta • Prawdziwy Pan Wołodyjowski
• Czytelnik istota nieznana • Polacy nad Morzem Czarnym • Dlaczego ITT
rwie się do eteru • Żyrafa • Goście

BOGDA MADEJ

Dojrzewanie

Wojna już się wtedy skończyła, ale na południowo-wschodnich krańcach Polski strzały nie umilkły. Nocą bandy UPA podchodziły pod domy. Tragiczne porachunki załatwiały znielacka. Ginęli dorośli. Dzieci, które podczas wojny wychowywały się w ciągłym strachu, przyzwyczaiły się reagować na niebezpieczeństwo natychmiastową ucieczką. Chowały się po kątach. Kiedy bandyci odchodzili, wypelzały z kryjówek.

Mówimy dzisiaj — władza ludowa — i nie zawsze zastanawiamy się nad istotnym znaczeniem tych słów. Dla kilkunastoletnich sierot z Rzeszowszczyzny, Lubelskiego i Bieszczadów władza ludowa oznaczała konkretnych ludzi, którzy poczuli się odpowiedzialni za ich dalsze losy. Często byli to przyjaciele i znajomi pomordowanych ojców, często razem walczyli o nową ojczyznę. Teraz zajęli się sierotami.

Dziewczeta zorganizowano w brygady SP i skierowano do nowo powstałej w Legnicy Szkoły Przeposobienia Przemysłowego. Część z nich miała się uczyć zawodu dzielnickiego. Jakże były? Dziś mówi się o takich — surowe. A one nie wiedziały po prostu nic o normalnym życiu. Wyrwane nagle ze wsi, gdzie odległość między chałupami nie pozwalała na sąsiedzkie kontakty, a najwyższym autorytetem był ksiądz, znalazły się w nowym świecie. A w szkole nie było czasu na wychowywanie. Nie było też warunków. Dziewczyny umundurowano, podzielono na kompanie i plutony. Jak w wojsku. Uczyły się zawodu i rygoru. Po krótkim stażu w Legnicy czekał je następny ważny etap. Praca w dużym mieście. Pracę jako tako poznały. Miasta miały się uczyć dopiero potem.

W Łodzi, w 1947 roku w wyniku komasacji drobnych warsztatów chałupniczych w pomieszczeniach byłej Spółki Akcyjnej Włókien Włókienniczych i Bawełnianych M. Silbersteina powstają Zakłady Przemysłu Dziewiarskiego im. Ofiar 10 Września 1907 roku. Zakład zdecydowanie różnił się od włókienniczych olbrzymów — dawnego Geyera, Poznańskiego czy Scheiblera, które teraz miały tylko nowe nazwy — skrót z kolejnym numerkiem. Załogi stanowili ludzie związani z nimi rodzinną tradycją. W przemyśle dziewiarskim wszystko trzeba było zaczynać od nowa. Nowa fabryka — znaczyło nowa załoga. Znaleźli się wśród

nich różni ludzie — przybysze ze wsi i spekulanci ze zlikwidowanego Wodnego Rynku. Załoga zmieniała się bez przerwy. Był rok 1950, kiedy do Zakładu sprowadzono dziewczęta z Legnicy. Ich rola była jednoznaczna. Przeniesione do wielkomiejskiego środowiska miały stanowić zaczątek nowej, stałej i własnej załogi.

O dwudziestu latach pracy fabryki można mówić bardzo długo. A one zamknęły to swoje dwudziestolecie w lapidarnych odpowiedziach.

— Spiesz mi się na produkcję — zagaiła najmilsza, a potem szybko wyliczyła: nauka w Legnicy, przyjazd do Łodzi, praca przy starej saneczkowej maszynie na początku, hotel robotniczy i własny dom. A teraz z pracy jest bardzo zadowolona i nigdzie by się nie przeniosła.

Druga powiedziała — w hotelu mieszkam osiem lat.

Pytam więc — co pamięta? Jak tam były warunki?

— Ano dobre. Czteroośmiorowe pokoiki, świetlica, łazienka.

Trzecia, łodzianka, mówi o stosunku „miastowych” do tych z Legnicy.

— Pomagałyśmy im chętnie. Bardzo wesoło było z tymi dziewczętami.

I to wszystko. Czy rzeczywiście pamiętają z tamtych lat tylko tyle?

W Domu Młodego Robotnika przy ul. Piełniny na Stokach zamieszkało 350 dziewcząt. Dyrektor Tomaszewski całe dni spędzał w Zakładzie i dopiero wieczorem wracał do robotniczego hotelu, gdzie mieszkał razem z żoną. Na Stokach przestawał być dyrektorem. Zaczynał wychowywać.

— Przyszedł mi do głowy ze wszystkimi kłopotami. Musiałem im wyjaśnić wiele spraw — że wyznawców Jehowy nie trzeba słuchać, że sekretarz partii to nie diabeł w ludzkiej skórze, że pieniądze nie można w ciągu trzech dni wydawać na słodycze, a ciężko nie wolno usuwać u babki.

— One nawet nie traktowały mnie jak mężczyzny — śmieje się dyrektor. — A miałem wtedy 32 lata. W soboty sprawdzaliśmy z kierowniczką czystość w pokojach. Przyjmowały nas w papilotach, często porzucane. Zupnie nie były zażenowane moją obecnością. Jeszcze mówiły „dzień dobry”.

Uczono je wszystkiego od początku. Nie umiały gospodarzyć własnym groszem. Zakład kupował im odzież, a potem odciągał należność z pensji. Inaczej nie miałyby w czym chodzić. Miały niewielką wiedzę o życiu, w które wchodziły. Jeździli więc do nich z odczytami literaci, muzycy z

Dalszy ciąg na str. 3

ANDRZEJ FELIKS GRABSKI

REFLEKSJE O POLSKIM PARLAMENTARYZMIE⁽¹⁾

PRZESZŁOŚĆ i TERAZNIEJSZOSC

Polska myśl polityczna zawierała i zawiera w sobie nieuchronnie stosunek do przeszłości, tak samo jak myśl historyczna równie nieuchronnie obejmuje także i sto-

sunek do terażniejszości. Historia od stuleci zmagana się w walce o obiektywizm własnego poznania, ale musiała się pozbyć pozytywistycznych złudzeń, że

przebiega ono tak samo, jak poznanie „naturalisty”. Dostrzeżono nie bez oporów ten oczywisty fakt, że skoro historyk bada w najbar-dziej nawet precyzyjny sposób społeczeństwo przeszłości, którego sam przecież jest w jakimś sensie wytworem, nie istnieje tu możliwość ścisłego, jak w naukach przyrodniczych, rozgraniczenia badanego przedmiotu — dziejów społeczeństwa w przeszłości — od badającego podmiotu — historyka, jako wytworu tego społeczeństwa, a jednocześnie jego części w terażniejszości. Stąd wynika ogólna dyrektywa: nieprawda, że badacz dziejów winien być człowiekiem żyjącym w wieży z kości słoniowej, odizolowanym od wszystkiego, co się

wokół niego dzieje. Przeciwnie — warunkiem zrozumienia procesów społecznych czasów minionych jest dlań świadome zaangażowanie się w terażniejszość, bowiem terażniejszość można zrozumieć jedynie przez przeszłość, przeszłość zaś przez terażniejszość, jak powiedział wielki francuski uczony Marc Bloch. „Współzależność wieków jest tak silna, że wyjaśniają się one nawzajem — pisał on w swej „Pochwalie historii (1941—1942). — Z nieznajomości czasów minionych wypływa nieuchronnie niezrozumienie terażniejszości. Ale również daremne będą zapewne próby zrozumienia przeszłości, jeżeli się nie wie nic o dniu dzisiejszym”.

„Każde pokolenie ma swój własny stosunek do zagadnień, swo-je zasadnicze zainteresowania na ukowe, narzucone przez wspólczesną rzeczywistość życia, swój własny sposób patrzenia. Każdemu pokoleniu rzeczywistość współczesna narzuca inną postawę do przeszłości i podsunęła podstawy do odmiennej syntezy. Po dążeniu do uzasadnienia stanowiska swego w narodzie, do uzasadnienia stanowiska narodu w Europie, do zdobycia podstaw historycznych dla własnych dążeń politycznych na emigracji, przyszła reakcja. Wyrosła

Dalszy ciąg na str. 5



Miniony tydzień w polskiej dyplomacji był bardzo pracowity i przeszedł pod znakiem rozmów. W moskiewskim spotkaniu na najwyższym szczeblu przedstawicieli krajów członkowskich RWPG wzięła udział delegacja z Władysławem Gomułką i Józefem Cyrankiewiczem. Gościem przewodniczącego Rady Państwa i OK FJN — Mariana Spychalskiego był przewodniczący KC Frontu Narodowego Czechosłowacji — Evžen Erban. W Algierii z oficjalną wizytą przebywał min. Stefan Jędrzychowski.

Szczególne zainteresowanie prasy światowej, co znalazło swoje odzwierciedlenie w licznych spekulacjach i komentarzach, wzbudził moskiewski szczyt RWPG.

Specjalna sesja RWPG — jak głosi końcowy komunikat — „rozpatrzyła zagadnienia dalszego rozwoju współpracy gospodarczej i potwierdziła jednomyślnie dążenie państw członkowskich do ściślejszego połączenia wysiłków w celu pomyślnej realizacji zadań budowy socjalizmu i komunizmu”.

Kraje członkowskie w ostatnich latach poważnie zwiększyły swój potencjał gospodarczy i ugruntowały swoją pozycję w ekonomice świata. Stało się to możliwe dzięki systematycznemu rozwojowi gospodarki narodowej każdego z krajów, ale również dzięki rozwijającej się wzajemnej współpracy. Opracowano i realizuje się w praktyce zasady podziału pracy. Koordynacji podlegają narodowe plany gospodarcze, pogłębia się specjalizację produkcji, uciążliwa rozszerza współpracę w dziedzinie nauki i techniki, z roku na rok zwiększa wymianę handlową.

Jednak — co mocno podkreśla wspomniany komunikat — na obecnym etapie „powstaje konieczność udoskonalenia już istniejących i szukania nowych, bardziej skutecznych form i metod współpracy gospodarczej”. Chodzi zwłaszcza o podjęcie takich środków, które zapewnią podniesienie wydajności pracy, stopniowe wyrównywanie poziomów rozwoju gospodarczego naszych krajów i w perspektywie — zwycięstwo w ekonomicznym współzawodnictwie z kapitalizmem.

Sesja zapowiedziała przystąpienie do opracowania podstawowych wytycznych dalszego rozwoju współpracy ekonomicznej z uwzględnieniem przede wszystkim ściślejszej koordynacji planów, łącznie z dziedziną prac naukowo-badawczych i projektowo-konstrukcyjnych, zbytu i inwestycji, oraz opracowanie prognoz naukowo-technicznych i ekonomicznych.

Przedmiotem zainteresowania delegacji państw członkowskich było również rozszerzenie wymiany handlowej i — zacytujmy to z tekstu komunikatu jako bardzo ważne — „bardziej aktywne wykorzystywanie stosunków walutowo-finansowych i międzynarodowego kredytu”. W czasie obrad uzgodniono powołanie do życia banku inwestycyjnego RWPG oraz podkreślono konieczność wzmocnienia roli umów, zwłaszcza długofalowych.

Uczestnicy posiedzenia pozostawili otwarte drzwi do rozwijania korzystnych kontaktów gospodarczych z krajami socjalistycznymi, nie będącymi członkami RWPG oraz innymi krajami, niezależnie od ich ustroju społecznego.

Na podkreślenie zasługuje, że uchwały sesji przyjęte zostały jednomyślnie. Nie jest bowiem tajemnicą, że wśród krajów członkowskich występowały różnice zdań, tak chętnie w politycznych celach wyolbrzymiane przez Zachód.

Do rezultatów sesji, jako bardzo istotnych dla całej socjalistycznej wspólnoty, przyjdzie nam niejednokrotnie powrócić. Teraz zaś poświęćmy nieco uwagi Francji.

W niedzielę po raz piąty w ciągu 10 lat Francuzi znaleźli się przy urnach wyborczych, aby wziąć udział w referendum. Obecne głosowanie dotyczyło dwóch odrębnych spraw: struktury i podziału administracyjnego oraz roli senatu. W pierwszym przypadku chodzi o umocnienie terenowych jednostek administracyjnych, w drugim — o ograniczenie roli senatu, którego skład zostanie poszerzony, ale tylko część jego członków będzie wybierana.

Przy okazji de Gaulle zaplanował przemycenie istotnej zmiany jednego z artykułów konstytucji, a mianowicie tego, który mówi o zastępstwie prezydenta republiki. Dotychczas do przejęcia obowiązków głowy państwa w razie jakiegos wypadku uprawniony był przewodniczący senatu, w myśl nowego projektu — premier rządu. Jak widać 79-letni prezydent zmiany tej dokonuje z myślą o swoim sukcesorze.

Wszystkie te zamierzenia w kampanii poprzedzającej referendum przedstawiane były przez gaullistów w demokratycznej szacie, choć w gruncie rzeczy chodzi tylko i wyłącznie o umocnienie władzy. Dlatego też przeciwko tym krokom opowiadała się lewica z Francuską Partią Komunistyczną.

W poniedziałek nad ranem nadeszła z Paryża wiadomość, której — mimo wyrównanych szans w referendum — nie oczekiwano. Jak wynika ze wstępnych rezultatów głosowania — różnicą ok. 1 mln głosów przeważała odpowiedź „nie”. Natychmiast też de Gaulle — zgodnie ze swą zapowiedzią — zakomunikował, że przestaje pełnić obowiązki prezydenta republiki. Praktycznie oznacza to dla Francji dużą niewiadomą. Ale o tym, jak rozwinie się sytuacja, już w następnym tygodniu.

W. ŚLAWSKI

Nagrody IV Ogólnopolskiego Festiwalu Poezji w Łodzi

W dniach 25 i 26 kwietnia br. odbywał się w Łodzi czwarty już z kolei Ogólnopolski Festiwal Poezji. Oprócz licznie reprezentowanego łódzkiego środowiska literackiego przybyli na Festiwal pisarze z całego kraju, m. in. z Warszawy, Krakowa, Poznania, Bydgoszczy, Gdańska, Szczecina, Wrocławia i Opola. Podstawą do dyskusji były referaty: Andrzeja Lema „Awangarda poetycka wczoraj i dziś”, Michała Sprusińskiego „Poezja polska 1945—1968. Znaki niepokoju i imiona prawdy”, a także wypowiedź wstępna Artura Sandauera o poezji powojennej. Referatami i dyskusji przyszli chcieli się przedstawiciele władz administracyjnych i partyjnych: przew. Prezydium RN m. Łodzi Edward Kaźmierczak, sekretarz KŁ PZPR — Jerzy Mokras, kier. Wydz. Kultury i Nauki KŁ PZPR — Zofia Włodarczykówna oraz przedstawiciel tegoż Wydziału Barbara Lisówna. W czasie trwania Festiwalu zorganizowano wiele spotkań z pisarzami na terenie naszego miasta. W drugim dniu Jury Festiwalu *) ogłosiło swoje werdykty. I tak w konkursie na najlepszy utwór poetycki nie przyznano pierwszej nagrody, natomiast trzy drugie nagrody otrzymali: Wiesław Kazanecki z Białegostoku za utwór „Posuwamy się naprzód”, Bolesław Garboś z Sandomierza za utwór „Komedia ludzka” oraz Jerzy Jarmołowski za cykl sonetów „Z mrozu strugane”. Dwie trzecie nagrody Jury przyznało: Wiesławowi Kazaneckiemu z Białegostoku za wiersz pt. „Łuk triumfalny” i Zbigniewowi Strzałkowskiemu z Lublina za wiersz pt. „Próba rozrachunku”. Nagrodę publiczności otrzymał E. Garnuch z Pabianic za wiersz pt. „Chleb”.

Nagrodę specjalną, ufundowaną przez Prezydium Rady Narodowej m. Łodzi za najlepszy tom wierszy w powojennym dwudziestopięcioletniu, Jury przyznało Wiesławowi Szymborskiej za tom pt. „Sto pociech”. Za najlepszy tom wierszy, ogłoszony w r. 1968, przyznano dwie równorzędne nagrody: Janowi Huszce („Stara pijalnia”, Wyd. Łódzkie) i Aleksandrowi Rymkiewiczowi („Dziki powój”, Wyd. „Czytelnik”). Za najwybitniejszy tom esejów r. 1968 Jury uznało „Trzy zorze dziewicze” Stanisława Czernika (Wyd. Łódzkie). Nagrody wręczyła laureatom wiceprzewodnicząca Prezydium RN m. Łodzi — Barbara Wąsowicz. Zgodnie z panującymi na łódzkich festiwalach obyczajami, nagrodzeni autorzy przeczytali na zakończenie nagrodzone przez Jury wiersze. Festiwalowi towarzyszyło duże zainteresowanie społeczeństwa. Na sali obrad widział się nauczycieli-polonistów, bibliotekarzy, działaczy, pracowników kultury i młodzież licealna. Sprawna organizacja Festiwalu przyczyniła się do jego powodzenia.

Obszerniejsze omówienie przebiegu i znaczenia Festiwalu Poetyckiego zamieścimy w najbliższym numerze „Odgłosów”.

*)Do Jury Festiwalu wchodził: Ernest Bryll, Stanisław Czernik, Jan Zygmunt Jakubowski, Jan Koprowski, Andrzej Lam, Ryszard Matuszewski, Marian Piechal (przewodniczący), Julian Rogoziński, Aleksander Rymkiewicz, Artur Sandauer, Stefania Skwarczyńska, Ryszard Stefańczyk i Kazimierz Wyka.

Listy DO REDAKCJI

SZANOWNY PANIE
REDAKTORZE

Chcę podzielić się z Panem niepokojącym zjawis-

kiem, jakie zauważyłem w pewnym powiatowym kinie, w czasie wyświetlania aktualnego giganta „Pana Wołodźjowskiego”.

Otóż, jak głoszają napisy, film jest dozwolony od lat 14, czemu się wcale nie dziwię, jeśli weźmie się pod uwagę stopień okrucieństwa jakim nas raczą realizatorzy. Jednakże pracownicy kina nie przejmują się tym zbyt, a na widowni obok siedzących starców kula się małe dzieci. Dzieci z najmłodszych klas szkół podstawowych i dzieci z przedszkoli. Ja rozumiem, że Pan Michał to świętość narodowa i jako taka winna być

wszystkim dostępna, lecz niechby Pan, Redaktorze, spojrzal na twarze tych dzieci w momencie wbijania okrutnego Azji na pal przez szlachetnych towarzyszy broni Pana Wołodźjowskiego! Biedactwa kula się, zakrywają oczy i tylko proszą by im powiedzieć, kiedy ta scena wreszcie się zakończy. A scena, jak na złość, trwa długo, jest majstersztykiem reżysera i popisowym końcowym akordem Daniela Olbrychskiego.

Nie wierzę, Panie Redaktorze, by dzieci na widowni i to na ostatnim, nocnym seansie, znalazły się w wyniku niewykonania miesięcznego planu frekwencji przez

to powiatowe kino. Nie, jest to po prostu zwykła obojętność, tępizacja, znieczulica najwyższego rzędu, brak moralnego obowiązku kontroli widowni.

Wyda mi się przeto, że jeśli sprawa wpuszczenia na widownię dzieci jest nieistotna dla pracowników kin, to nie może być obojętną dla nas, wychowawców tych dzieci.

Łączę wyrazy szacunku.

KAMIL LECHOSŁAW
KOWALSKI

ŁÓDZIANIE W KARYKATURZE



MGR RYSZARD STEFAŃCZYK
kierownik Wydz. Kultury Prez. MRN

ŁÓDZIANIN ROKU 1968

(Rozstrzygnięcie konkursu-plebiscytu)

Ogłoszony przez nas w szczególności obliczeniu głosu ub. roku konkurs-plebiscyt pod nazwą „Łódzianin Roku 1968” wywołał ogromny odzew czytelnicy. Przy odwołaniu się do konkursu zgłosiliśmy spośród mieszkańców Łodzi 10 kandydatów, którzy swoją pracą zawołać albo działalnością polecić czną wyróżnili się w ciągu ostatnich miesięcy. Staraliśmy się na bieżąco informować o poparci, jakiego czytelnicy „Odgłosów” udzielali w wytypowanym przez nas kandydacie, publikując napływające do redakcji listy. Były to najbardziej reprezentatywne próbki uzasadnień, ogłoszenie bowiem całości materiałów przekraczałoby techniczne możliwości naszego tygodnika.

Dla czytelników, którzy śledzili rozwój plebiscytu, jego rezultat nie będzie na pewno zaskoczeniem. Po

Wszystkim wyróżnionym serdecznie gratulujemy więc zwycięstwa w imieniu czytelników i redakcji „Odgłosów”.

W najbliższym numerze naszego tygodnika ogłosimy wyniki losowania nagród dla czytelników, którzy wzięli udział w naszym plebiscyście. Dokonamy także rozdziału nagród za listy z najciekawszymi uzasadnieniami.

Redakcja

Rozwiązanie konkursu „Świąteczny spacer”

Nasz świąteczny konkurs „Wiosenny spacer” nie był specjalnie trudny i nadesłało nam kilkaset odpowiedzi. Nasi Czytelnicy bez trudu odgadli, że na spacer wybrali się Chopin i George Sand, Balzak i pani Hańska, Michał Wołodźjowski i Basia, Jagienka i Zbyszko z Bogdańca, Jan III Sobieski i Marysińska oraz Izabela Lecka i Wokulski. Prawidłowe rozwiązanie wg podanych na rysunku symboli brzmi zatem: 1F, 2A, 3E, 4B, 5D, 6C.

W wyniku losowania pierwszą nagrodę (adapter) otrzymał IZOLDA MYŚLIŃSKA, Łódź, Plantowa 21.

Drugą nagrodę (radio tranzystorowe) wylosowała UR-SZULA MAJDA, Długie — szkoła, poczta Kozuski. Dwie trzecie nagrody (komplety płyt do nauki języka francuskiego lub niemieckiego) otrzymują: ALEKSANDRA OPALA, Aleksandrów Łódzki i EWA KRAKOWIAK, Łódź, Sporna 20/5. Trzy wyróżnienia książkowe wylosowali: KONRAD SZCZEPARA, Łódź, Nałkowskiej 7 m. 7, MARIAN RACHWAŁSKI Łazarowice, poczta Głębocice, pow. Wołów, woj. Wrocław. HALINA SZCZODROWSKA, Niegosławice 191, pow. Szprotawa, woj. Zielona Góra.

Dojrzewanie

Dalszy ciąg ze str. 1

koncertami, występowali artyści. Liga Kobiet uczyła podstawowych zasad prowadzenia gospodarstwa domowego. Mimo, że trudno było z nimi nawiązać bliższy kontakt, wszyscy traktowali swoją pracę bardzo poważnie, wiedząc, że od nich w dużej mierze zależy, aby zaklimatyzowanie się dziewcząt w mieście nastąpiło jak najszybciej.

A i klimat — ten dosłowny — łódzki, zadymiony, okazał się nie bardzo sprzyjający. W latach 1954—1957 zaobserwowano w Zakładzie poważny wzrost zachorowań na gruźlicę u dziewcząt ze wsi. Przyczynę szybko wykryto. Chcąc za wszelką cenę dorównać wyglądem tym z miasta, dziewczyny zaczęły się ubierać kosztem żołądka. Słabsze organizmy nie wytrzymały. Dostępnym więc nowym kłopot, bo kierownictwo musiało także zacząć interesować się tym, co dziewczęta jedzą.

Opowieść dyrektora Tomaszewskiego o Domu na Stokach zbliża się do końca.

— Życie przyniosło nowe, acz zupełnie naturalne problemy. Dziewczyny zaczęły wychodzić za mąż. W Domu Młodego Robotnika małżeństwa mieszkali nie mogli. Trzeba było postarać się im o mieszkania.

Szpital przy Tramwajowej, był to dawny budynek mieszkalny, któremu bez większych trudności można było przywrócić pierwotne funkcje. A że lokalizacja szpitala również nie była najszybszą, władze miasta zgodziły się oddać budynek na mieszkania dla pracowników. Dyrektor Tomaszewski poszedł jeszcze dalej. Wprowadził tam stare rodziny robotnicze, a ich mieszkania oddał młodym dziewczętom ze Stoków i ich mężom.

— Postarałam się jak najszybciej wyjść za mąż i po roku wyprowadziłam się z hotelu — powiedziała mi pierwsza kobieta. Bo jednak był przedział między pracownikami z miasta, a dziewczętami z hotelu.

— Hołubicie je i rozpieszczacie — mówili miastowi — mieli o to pretensje. Często trzeba było łagodzić konflikty.

Dla tamtych zaś małżeństwo było potrzebą i szansą. Wyprowadzały się z hotelu i w ten sposób wchodziły na dobre w środowisko miejskie. Mogły wreszcie zacząć „zapominać” o swoich niełatwiejszych fragmentach życia. Teraz trudno odszukać je wśród robotnic „Olimpii”.

Bo ów zakład to właśnie dobrze znana łódzianom „Olimpia”. A co z nazwą „Ofiary 10. Września 1907 roku”? — Centrala na wszystkie telefony do Zakładu odpowiadała — „Ofiary”. Pracowało się u „Ofiary”. A że w dodatku przez pierwsze lata pięćdziesiąte fabryka nie wykonywała planów, nazwa zaczynała nabierać ujemnego zabarwienia. Wreszcie dyrektor Tomaszewski zbuntował się, twierdząc, że z punktu widzenia psychologii nazwa nie jest najszybszą. Po początkowych trudnościach, uzyskał zgodę na zmianę. Ogłoszono konkurs i tak w 1957 roku powstała „Olimpia”. Byłoby przesadą twierdzić, że zmiana nazwy wpłynęła na produkcję, złożyło się na to wiele czynników. Ale faktem jest, że od tego czasu wiele się w „Olimpii” zmieniło na lepsze.

— Największy sukces? — Kiedy pracownicy zaczęli mówić — „mój zakład”. Dowodem tego są liczby. Wśród 2,5-tysięcznej załogi „Olimpii” około 100 osób pracuje

od samego początku — 20 lat, 15 przeprowadzonych lat ma już 750 osób, a 10 lat — 900. Reszta to młodzież, najczęściej wychowankowie własnej, przyzakładowej szkoły. To już jest stabilizacja. To już jest własna załoga.

W ciągu 20 lat istnienia „Olimpia” przechodziła powtarzającą się modernizację i rozbudowę przedsiębiorstwa. Przypomnijmy. W 1956 r. ręczne maszyny saneczkowe zastąpiono automatami cylindrycznymi z silnikiem elektrycznym. Przyniosło to 30-krotny wzrost produkcji na jednego dzieniarza. Maszyny te produkowały dzianinę metrażową i w związku z tym trzeba było wprowadzić krój i szycie. Pociągnęło to zmianę struktury zawodowej — zmniejszenie ilości dzieniarzy, zwiększenie krojczych i szwaczek. W roku 1966 ruszyła produkcja dzianiny przy użyciu maszyn cottonowych. Konfekcjonowanie odbywa się obecnie przy pomocy nowoczesnych zszywarek i łączarek, a to wymaga mniej więcej pięciokrotnego wzrostu dzieniarzy. Szwalnia musi się przekwalifikować.

Zmienił się surowiec — już nie wełna, a modylon, elastor i anilana. Zwiększyła się i będzie się zwiększać produkcja. W 1965 roku wyrobów cottonowych jeszcze nie było, w 1966 — wyprodukowano ich 600 tys. W 1969 będzie 3,5 miliona, a na rok 1973 przewiduje się 10 milionów.

W przyszłym roku eksport zwiększy się o 50 proc., a trzeba tu dodać, że odbiorcami m. in. są Kanada, USA, Szwecja i Anglia a więc kraje, za których wyroby dzienne przepłacają jeszcze polskie eleganci.

Nie bez powodu przytoczyłam te fakty i liczby. Tak gruntowna modernizacja wymaga wysokiego uświadomienia załogi. Nie ma przecież co ukrywać, w początkowej fazie modernizacji odbija się czasem ujemnie na kieszeni robotnika. Jest to rezultat procesu zmiany kwalifikacji i ciągłego doszkalania, a w „Olimpii” są tylko nieliczne wypadki przejścia do innego zakładu.

Historia dziewcząt z Legnicy, które miały stanowić zaczątek załogi „Olimpii” pełni tu bardzo ważną rolę. Jest to bowiem przykład świadomego i mądrego wychowywania robotnika Robotnika, który dopiero w bramie zakładu spotkał się z socjalizmem.

Na kilka dni przed Majowym Świętem „Olimpia” uroczystości obchodziła swoje dwudziestolecie. Centralnym fragmentem uroczystości było wmurowanie aktu erekcyjnego pod „Olimpię-2” na Nowych Sadach. Nie był to jednak najważniejszy moment. Najważniejsza była świadomość, że 20 lat „Olimpii” to nie dzieje fabryki, która przecież stale się zmieniała i dziś już nie przypomina dawnych „Ofiar”, ale dzieje ludzi, którzy spotkali się w bramie socjalizmu i nauczyli się go na co dzień.

We włókienniczej Łodzi jest zwyczaj pokazywania w 1-majowym pochodzie największych osiągnięć fabrycznych załóg i nawiązywanie do ich rewolucyjnych tradycji. Ludzie z „Olimpii” mogą pochwalić się sprawną modernizacją, wzrostem produkcji, eksportowymi wynikami. Trudno im jednak będzie pokazać to co mają najcenniejszego. Rezultatów procesu wychowawczego, w którym ukształtowała się nowa, socjalistyczna załoga nie można pokazać ani na planach, ani na transparentach.

BOGDA MADEJ



POLONICA

PRZEKŁADY Z POLSKIEGO W ZSRR

W ostatnich tygodniach na półkach księgarskich w ZSRR ukazały się nowe, kolejne przekłady z języka polskiego. Wydawnictwo „Politizdat” opublikowało „Wybrane artykuły i przemówienia” Władysława Gomułki. Jest to obszerny, liczący 632 strony wybór tekstów z lat 1964—1967. Inne wydawnictwo, „Nauka”, opublikowało tom reportażu znanego dziennikarza Kazimierza Dzielanowskiego. Książka nosi tytuł „Aniołowie i szakale”. Wydawca zaopatrzył ją w uwagę „reportaż z przedednia potopu”.

LITERATURA POLSKA W CZECHOSŁOWACJI

Jak wynika z informacji uzyskanych w Ośrodku Kultury Czechosłowackiej w Warszawie od roku 1800 do 1945 przetłumaczono z języka polskiego na czeski około 900 książek, zaś w latach 1946—58 liczba przekładów przekroczyła 600. W przekładach polskich książek specjalizuje się Wydawnictwo „Odeon” w Pradze oraz Wydawnictwo „Tatran” w Bratysławie. W tych oficynach wydawniczych ukazywały się dzieła zebrane Mickiewicza, Prusa, Sienkiewicza i Żeromskiego.

Jeśli idzie o nakłady przekładów z literatury polskiej to najwyższy 140 tysięcy egzemplarzy osiągnęła powieść Henryka Sienkiewicza „Quo vadis”. Wysoki 115-tysięczny nakład osiągnęła też książka Igora Newerlego „Chłopiec z salskich stepów”. Dalsze miejsca pod względem wysokości nakładów zajmują następujące utwory polskich pisarzy: „Faraon” Bolesława Prusa — 105.000 nakładu, „Kaska Kariatyda” Gabrieli Zapolskiej — 85.000 nakładu, „Spisowa brama” Tadeusza Brezy 82.000 nakładu oraz „Potop” Henryka Sienkiewicza — 71.000. Podane wyżej liczby dotyczą wydań powojennych.

„DO WIDZENIA, PROFESORZE”

W 12 tegorocznym numerze wydawanego w Berlinie tygodnika „Freie Welt” (Wolny świat), w stałej rubryce „Taschen-Lieder” ukazał się tekst wraz z nutami piosenki polskiej (w przekładzie na język niemiecki), pt. „Do widzenia, profesorze”. Autorem muzyki jest Jan Janikowski, słowa napisał Włodzisław Patuszyński. W notce od redakcji przeczytaliśmy, że piosenka ta bardzo się w NRD podoba i że publiczność niemiecka czeka na podobną piosenkę autorów niemieckich. K.F.

KAZIMIERZ BRYŃSKI

Poeta majowego święta

Rok 1890 to rok pamiętny w historii proletariatu. Wypełniając uchwałę Kongresu II Międzynarodówki w Paryżu z dnia 14 lipca 1890, po raz pierwszy święcili one dzień pierwszomajowy jako dzień swego święta.

Na ziemiach polskich najżywiej zrealizowano uchwałę w zaborze austriackim. Szczególnie imponującą manifestację zorganizowali robotnicy Lwowa. I tam po raz pierwszy wówczas zabrzmiała publicznie pieśń, która od tamtego dnia stała się hymnem rewolu-

cyjnym Polski i pokrewnych krajów słowiańskich.

Był to „Czerwony Sztandar”, utworzony w r. 1888 poety lwowskiego — Bolesława Czerwieńskiego.

Jeszcze w r. 1881, w dziesięciolecie Komyuny Paryskiej, napisał Czerwieński tę pieśń. Nawiązując do Komyuny — podjął jedynie popularną jej melodię, lecz nową i własną nasycił ją treścią. W prawdziwie natchnionych słowach, o szerokim rozmachu ogólnoludzkich dążeń, nawiązał bardzo tylko pośrednio do aktualnych wiedzy dla proletariatu zdarzeń: do świętych procesów wytaczanych socjalistom przez prokuraturę, do zamordowania cara Aleksandra II. Francuski „Le Drapeau Rouge” nie miał tej siły poetyckiej, więc i przebrzmiał szybko: „Czerwony Sztandar” Czerwieńskiego chwycił od razu za serca robotnicze, które poznały w nim swą pieśń, więc też krzepił je w latach walki i wiodł w zwycięski bój.

Na wartości bojowej tej pieśni poznali się nie tylko robotnicy. Równie trafnie ocenili jej siłę bojową i zaprzysiężeni wrogowie.

Wydrukowany po raz pierwszy — uległ natychmiast „Czerwony Sztandar” konfiskacie i oddał tylko odbity na powielacz i śpiewany na zamkniętych zebraniach, docierał do tych, dla których był przeznaczony. W dniu 1 Maja jednak 1890 roku śpiewany pub-

licznie — nabrał nowego życia, choć trwać musiał w konspiracji, dopóki go nie zabezpieczył przed zakusami prokuratury i policji poseł Ignacy Daszyński, odczytawszy go w swej interpelacji parlamentarnej w 1901 r. Od tej chwili mógł być drukowany i śpiewany bezpiecznie, jako „wyjątek z mowy posła Daszyńskiego”, bowiem mowy poselskie wedle ustawy nie podlegały konfiskacie.

Ten pierwszy obchód święta robotniczego i ta jego pieśń — spadły wówczas na rodzimą reakcję jak grom. Za wszelką cenę postanowiono nie dopuścić do obchodu 1 Maja w roku następnym, samą zaś pieśń zabić. Wiedzieli dobrze, że sam terror i konfiskaty tu nie pomogą, aczkolwiek i tych nie zaniedbano. Poza aresztowania mi więc osób, u których znalazło się podczas rewizji odbitki lub odpis pieśni, sięgnięto po broń, groźniejszą.

Świętu 1 Maja przedstawiono więc obchód Konstytucji 3 Maja, pieśń zaś zdecydowano skompromitować.

Szczęśliwy dla reakcji traf chciał, iż w r. 1891, akurat w dzień niedzielny, przypadła setna rocznica ogłoszenia Konstytucji. Okazję postanowiono więc wykorzystać.

Do pracy zebrano się od razu, na dobrych kilka miesięcy przed

majem. Nie żałowano trudu ani pieniędzy. Całe pismo nowe ufundowano w tym celu, rzekomo „socjalistyczny” tygodnik pt. „Robotnik Polski”. Rozrzucono go po mieście. Nie szczędzono ulotek, ni agitacji żywym słowem, przede wszystkim z ambon kościelnych. Hasłom robotniczym przeciwstawiono hasła nacjonalistyczne; grano na instynktach narodowych i religijnych; kuszono robotnika, by dla wspomnień historycznych zapomniał i wyrzekł się aktualnych swych interesów klasowych. Ci sami, co przed kilku laty, gdy demokracja lwowska wysunęła hasło obchodu dnia 3 Maja — pomysły ten zwalczała jak najzacieplej, teraz uczeplił się go jak jedyną deskę ratunku; uroczystość podnieśli do godności „święta narodowego”, rzucali pieniądze na agitację, wzywali do jedności narodowej wobec wrogów. Było tylko robotnika pozyskać, byle oddalić złowrogle widmo 1 Maja.

A już przeciw „Czerwonemu Sztandarowi” i jego twórcy wytoczono wszystkie argumenty. Nie uszanowano nawet świętego grobu robotniczego pleśnarza. By odebrać pieśń jej wartość moralną w oczach ludu, puszczono szeroko w kurs złośliwą i perfidną plotkę. Jakoby poeta napisał ją nie z przekonania, lecz żartem, przy kielszku, na skutek zakładu, że nie tylko rzecz taką napisać potrafi, ale że

głupi ludzie wezmą to jeszcze za dobrą monetę...

Tak działali ci, co niedawno zaszczyli na śmierć samego autora. Wytęgał teraz wszystkie siły, by zamordować jego pamięć i jego utwór.

Właśnie mijalo lat dziesięć, kiedy przeciw żyjącemu jeszcze Czerwonemu Sztandarowi, który walczył o wolność polskiego proletariatu, apłewanym uroczystości w każdy dzień pierwszomajowy. Nie pomogły żadne represje, żadne szkalowania. „Czerwony Sztandar” zwyciężył. Od wód Adriatyku po daleką Syberię rozbrzmiewały jego natchnione słowa.

Poeta jednak walczył, a pieśń jego żyła. Stała się hymnem rewolucyjnym polskiego proletariatu, apłewanym uroczystości w każdy dzień pierwszomajowy. Nie pomogły żadne represje, żadne szkalowania. „Czerwony Sztandar” zwyciężył. Od wód Adriatyku po daleką Syberię rozbrzmiewały jego natchnione słowa.

Robotnicy kochali swego poetę, którego utwór związał się nierozdzielnie z świętem 1 Maja na długie lata. Za grosze też robotniczo stanął w r. 1894 — właśnie w dzień „święta” szlachty galicyjskiej, bo podczas „Wielkiej Wystawy Królowej” — „świątyni” wizytę cesarza austriackiego — skromny jego pomnik na cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie, w alei zasłużonych, obok pomnika Goszczyńskiego, Konopnickiej, Iwana Franki.

W dzień 1 Maja godzi się przypomnieć postać Bolesława Czerwieńskiego. Pieśń jego zesłała dziś wprawdzie w cień, lecz nie straciła bynajmniej ani siły ani znaczenia. A już z historii walk proletariatu żadna siła jej nie wymaże.

Polacy nad Morzem Czarnym

O WSPÓŁPRACY KULTURALNEJ MIĘDZY POLSKĄ I BULGARIĄ rozmawiamy z Radcą do spraw kulturalnych Ambasady Ludowej Republiki Bułgarskiej — LUBENEM STOICZKOWEM.

ODGŁOSY: — Wprawdzie dzisiejsza rozmowa ma dotyczyć przede wszystkim aktualnej współpracy kulturalnej między Bułgarią i Polską, ale warto chyba sięgnąć nieco do historii. Podobienstwo w dziejach obu krajów — wieloletnia niewola — niewątpliwie wpłynęło na wcześniejsze kontakty i to nie tylko polityczne, ale i kulturalne.

L. STOICZKOW: — To prawda. Silny rozwój kontaktów kulturalnych można zanotować już w połowie XIX wieku, kiedy Polska przeżywała lata rozbiorów, a Bułgaria niewolę turecką. Polscy emigranci, podróżnicy i pisarze w wielu utworach przedstawili ciężkie warunki życia ludu bułgarskiego i jego walkę o wyzwolenie narodowe. Szczególnie wielu pisarzy i malarzy polskich znalazło się wśród emigrantów przybyłych do Bułgarii po roku 1863. W roku 1855 ziemie bułgarską odwiedził Adam Mickiewicz. Sadyk Pasza, czyli Michał Czajkowski pisał o niej w swoich dwóch powieściach „Bułgaria” i „Kyrdzali” a Zygmunt Miłkowski w utworach „Assan” i „Zarnica”. Karol Brzozowski, poeta i inżynier, który budował w Bułgarii telegrafy, opisał ziemie bułgarską w utworach „Deli Petko”, „Sen w Bałkanach” i w „Notatkach z podróży”.

Obok nazwisk literatów można wymienić również nazwiska polskich malarzy i grafików związanych czynnie z Bułgarią. W Galerii Malarstwa w Sofii wisi obraz Antoniego Piotrkowskiego — „Rzeź Baszybuzucka w Bataku w 1876 roku”. Piotrkowski był również dziennikarzem i jako przedstawiciel prasy francuskiej oraz angielskiej pracował na rzecz Bułgarii już po jej wyzwoleniu. Znany jako ilustrator i grafik został odznaczony bułgarskim orderem „Za Naukę i Sztukę”. Henryk Dembicki — malarz i karykaturzysta współpracował z Christo Botewem, największym naszym poetą-rewolucjonistą, który redagował w Bukareszcie pisma „Beben” i „Budzik” (Typan i Budinik).

Dużą rolę w rozwoju kultury bułgarskiej spełnili polscy emigranci osiedleni w mieście Szumen. Oni to wspólnie z Dobrym Wojakiem organizowali pierwsze przedstawienia teatralne w Szumen i w Bułgarii jeszcze za czasów niewoli tureckiej. Pomogli także w utworzeniu pierwszej orkiestry, która dała początek późniejszej orkiestrze symfonicznej.

Warunki sprzyjające zbliżeniu kulturalnemu między Bułgarią i Polską, szczególnie zaś na polu literackim powstały po wyzwoleniu naszej ziemi z niewoli tureckiej, a

więc po roku 1878. W ciągu pierwszego dwudziestolecia po wyzwoleniu przetłumaczono na bułgarski liryki Mickiewicza, a potem „Pana Tadeusza”, strony poetycko-filozoficzne Krasińskiego, elegie Słowackiego i inne. Rozszerzaniu się tych kontaktów sprzyjało wspólne, słowiańskie pochodzenie obu krajów. Na Uniwersytecie Jagiellońskim i innych wyższych uczelniach Polski otrzymało wykształcenie wielu bułgarskich muzyków, uczonych, slawistów. Wielu z nich zajęło potem odpowiedzialne stanowiska w bułgarskim szkolnictwie, niektórzy pracują jeszcze dziś.

Sytuacja społeczna i polityczna w Polsce i w Bułgarii w okresie dwudziestolecia międzywojennego w znacznym stopniu ograniczyła kontakty kulturalne, lecz mimo to tłumaczyliśmy w dalszym ciągu literaturę polską. W tym czasie wydano w Bułgarii dzieła Sienkiewicza, Prusa i innych klasyków polskich. Ale braterstwo narodów Bułgarii i Polski najdobitniej wyrażało dopiero po zakończeniu II wojny światowej i ustanowieniu władzy ludowej. Dogodne warunki do wszechstronnych i zorganizowanych kontaktów kulturalnych stworzyła umowa o wymianie i współpracy kulturalnej, zawarta 28 czerwca 1947 r. oraz Układ o Przyjaźni, Współpracy i Wzajemnej Pomocy z 29 maja 1948 r.

W 1949 r. na Uniwersytecie Wrocławskim otworzono lektorat języka bułgarskiego, później przeniesiony na Uniwersytet Jagielloński. W roku 1954 lektorat języka polskiego otrzymał Uniwersytet w Sofii. Następne ważne fakty w naszej współpracy kulturalnej, to otwarcie Ośrodka Kultury Polskiej w Sofii w 1957 r. i Ośrodka Kultury Bułgarskiej w Warszawie w 1956 r.

Plany realizacji wymiany kulturalnej i naukowej opracowuje się co roku, przy czym są to plany ogólne. Akademia Nauk, związki twórcze i inne organizacje opracowują własne plany bezpośredniej współpracy, mające olbrzymie znaczenie dla kultury i nauki polskiej i bułgarskiej.

ODGŁOSY: — Jaka jest obecnie znajomość kultury polskiej w Bułgarii i bułgarskiej w Polsce?

L. STOICZKOW: — Dużym zainteresowaniem cieszy się polska literatura, która zdobyła sobie w społeczeństwie bułgarskim niemałe grono przyjaciół. W ostatnich latach wydawaliśmy rocznie od 15 do 20 tytułów książek autorów polskich. Od roku 1944 do dziś przetłumaczono na język bułgarski około 230 tytułów, a ogólny ich nakład sięga 8 milionów. Obok Mickiewicza, Sienkiewicza, Prusa, Żeromskiego, Orzeszkowej bułgarskiemu czytelnikowi dobrze znani są współcześni pisarze polscy — Brandys, Putrament, Breza, Iwaszkiewicz i wielu innych.

Cieszy nas fakt, że również literatura bułgarska znajduje w Polsce wielu czytelników, którym udostępniono utwory naszych czołowych pisarzy, takich jak — Christo Botew, Iwan Wazow, Nikola Wapcarow, Jordan Jowkow, Elin Pelin, Christo Smirnenki. Przed 10 laty została wydana antologia bułgarskiej poezji i noweli, a w roku ubiegłym nowe wydanie poezji. Popularyzuje się także muzykę i malarstwo. Co roku wymieniamy dyrygentów, zespoły muzyczne, zapewnia się udział w organizowanych w obu krajach międzynarodowych konkursach muzycznych i wokalnych. Łódzian z pewnością zainteresuje fakt, że na Festiwal Folklorystyczny do Burgasu zaproszono zespół „Harnama”.

Wszystkie wymienione tu formy współ-

pracy kulturalnej przyczyniają się do wzajemnego poznania i zbliżenia obu narodów. Oczywiście w czasie 25-letniego nowego, wolnego życia nie można było zrobić wszystkiego w tej dziedzinie. Stąd na przykład wciąż jeszcze mało znamy w Bułgarii teatr i dramaturgię Polski. Myślę, że i w Polsce niezbyt wiele się wie o współczesnym teatrze bułgarskim. Trzeba będzie to w najbliższym czasie naprawić.

ODGŁOSY: — Jaka dziedzina polskiej kultury jest w Bułgarii najpopularniejsza?

L. STOICZKOW: — Sporo już tu mówiliśmy o polskiej literaturze i nie bez powodu, bo właśnie polska książka jest u nas jedną z najpopularniejszych. Olbrzymim zainteresowaniem cieszą się utwory polskie, które niejednokrotnie tłumaczone są na język bułgarski po parę razy. Ot, choćby „Pana Tadeusza” który ostatnio doczekał się już jedenastego przekładu. Warto dodać, że właśnie tłumaczenie, którego autor ką jest Biłga Dymitrowa polscy specjaliści ocenili jako najlepszy przekład „Pana Tadeusza” na język obcy.

O popularności polskiej literatury w Bułgarii świadczą także duże nakłady. Polska poezja wydawana jest w 4—5-tysięcznych nakładach, proza od 6 do 10 tysięcy. „Janek Muzykant” ukazał się w ilości 50—100 tysięcy egzemplarzy. W okresie krótszym niż rok wyczerpano nakład liryk Broniewskiego i „Nocy i dni” Dąbrowskiej wydanych w 7 tys. egzemplarzy. Ponad 8-tysięczny nakład „Krzyżaków” zniknął z półek księgarskich w ciągu tygodnia.

Mówiłem już, że ogólna liczba polskich książek wydanych w Bułgarii sięga 8 mln. Jeśli weźmiemy pod uwagę, że właśnie tyłu mamy mieszkańców, to zgodnie ze sta-

tystyką można powiedzieć, że w każdym bułgarskim domu znajduje się jedna polska książka. Jej popularność można wytłumaczyć dużą sympatią i zainteresowaniem jakim nasze społeczeństwo darzy Polaków.

ODGŁOSY: — W bieżącym roku Bułgaria i Polska świętują rocznicę 25 lat władzy ludowej. Fakt ten z pewnością umożliwi jeszcze bliższe kontakty między obu narodami. Jakże są zamierzenia dotyczące wymiany kulturalnej?

L. STOICZKOW: — W jubileuszowym 1969 roku oprócz tych form wymiany kulturalnej o których mówiliśmy znacznie, wzrastającą się kontakty bezpośrednie między bliźniaczymi miastami, zakładami pracy i zespołami artystycznymi. W tej chwili od kilku lat współpracują ze sobą Warszawa i Sofia oraz Płowdiw i Poznań. Mówi się już także o możliwości współpracy między Toruniem i Plewem, a także Burgas i Szczecinem. Niestety, do tej pory nie ma takiego partnera dla Łodzi.

ODGŁOSY: — A jakie Pana zdaniem są możliwości pogłębienia współpracy w najbliższej przyszłości?

L. STOICZKOW: — Wydaje mi się, że potrzeba więcej popularnych opracowań i wydawnictw na temat historii, ekonomiki i kultury obu krajów. Dla specjalistów i miłośników literatury warto by było wydać historię literatury bułgarskiej i polskiej. Istniejące zaś wzajemne zrozumienie i pełna jedynomyślność między obu krajami w wielu problemach życia współczesnego sprzyja dalszemu pomyślnemu rozwojowi przyjaznych stosunków między Polską i Bułgarią.

Rozmowę przeprowadziła

B. M.



BOHDAN BARANOWSKI

PRAWDZIWY Pan Wołodyjowski

Znaczna większość postaci, które występują na kartach „Trylogii” nie została stworzona przez fikcyjną autorską Sienkiewicza. Były to osoby z których działalnością wielki pisarz przypadkowo niekiedy się zetknął i które ożywił jako swych bohaterów. O ile wobec postaci tzw. historycznych, a więc wybitnych wodzów lub polityków, starał się Sienkiewicz przestrzegać zasad względnie dość wiernego przedstawiania ich działalności, to zupełnie bezceremonialnie postępował wobec tych swoich bohaterów, dla których ze źródeł wypożyty tylko nazwiska, czy też pewne epizody ich życia.

Znaleziona w źródłach wzmianka o Skrzetuskim, który się przedarł ze Zbaraża z wiadomościami do króla, spowodowała, że tym nazwiskiem obdarzony został bohater „Ogniem i mieczem”. Nie próbował też

Sienkiewicz znaleźć w źródłach dalszych wiadomości o losach tego dzielnego oficera. Stworzył więc w oparciu o autentyczną osobę fikcyjną postać wyidealizowanego bohatera tamtych czasów. A tymczasem po wielu latach naukowcy wertujący archiwa zrobili mu brzydką kawę wyciągając ze źródeł liczne fakty dotyczące zbarskiego bohatera Skrzetuskiego. Na imię mu było Mikołaj, nie Jan. Ow dzielnym, ale krewki i skłonny do awantur wojak zapisał swe nazwisko wielokrotnie na kartach ksiąg sądowych, a to poranieniem współtowarzyszy zabawy, a to znów — próbą porwania i uprowadzenia do ołtarza leciwej, ale mającej wdowy. Nie doczekał się też ow prawdziwy Skrzetuski dwu nastu synów, ale prawdopodobnie zszedł z tego świata jako stary kawaler, dożywszy w tym stanie do lat prawie sześćdziesięciu. Również autentyczny

pan Kmicie chorąży orszański, Samuel a nie Andrzej, doskonale zresztą żołnierz, maż nie Oleńki Billewiczówny, ale Anny Kanketuzen, córki bogatego kupca greckiego pochodzenia, w dość istotny sposób różnił się od bohatera „Potopu”.

Także i prawdziwy pan Wołodyjowski niewiele miał prawdziwego sieniawickiego bohatera. O jego postaci pisali już zresztą liczni autorzy (A. Rollé, M. Kosman i in.). Niżej artykuł jest zresztą wynikiem poszukiwań przeprowadzonych jeszcze przed wielu laty w archiwach i bibliotekach zarówno polskich, jak i radzieckich.

Na sieniawickowskiego „malego rycerza” złożyły się dwie autentyczne postaci, prawdopodobnie ze sobą zresztą spokrewnione, Michała i Jerzego Wołodyjowskich. O oficerze dra gońskim Michał Wołodyjowski prawdopodobnie dowiedział się Sienkiewicz od kogoś, kto miał w swym ręku resztki archiwum magnata z Zadnieprza Aleksandra Piaseczyńskiego, które to zbiory znalazły się później wśród rękopisów Biblioteki Ordynacji Krasińskich w Warszawie. Ow wojak istotnie zaczynał działalność wojskową w służbie Jerzego Wiśniowieckiego, w której się odznaczył w czasie wojny z Rosją w l. 1633—34. Później przeszedł do służby Aleksandra Piaseczyńskiego, gdzie piastował trudną do określenia funkcję „starszego nad dragoniją” w siewierskich włościach tego magnata. Był to widać wojak krewki i pełen

temperamentu, skoro w 1637 r. popo Iwan ze Słobódki Czernihowskiej skarżył się płacizwie, że mu pan Michał, córkę Sońkę, „dziewkę w leciech 14-ty zgwałcił, zniewolił, zgwałcił, ca pozabawił”. W kilka lat jednak później stracił ów Michał Wołodyjowski życie w walce ze stepowymi najazdami, gdyż dowiadujemy się o skromnym dożywociu dla wdowy „po Michał Wołodyjowski” co go „Tatary zasiekli”.

Nie wiemy zresztą czy ten Michał Wołodyjowski — zalecający się do popówny ze Słobódki Czernihowskiej był prawosławnym czy katolikiem. Rodzina Wołodyjowskich należała bowiem do drobnej szlachty prawosławnej z okolic Kamieńca. Tak jak i wiele rodzin „ruskich” również i część Wołodyjowskich już w drugiej połowie XVI w. uległa polonizacji i przyjęła katolicyzm. Z tej katolickiej części rodziny Wołodyjowskich pochodził później szty „Hektor kamieniecki” Jerzy. Z postacią tą zapoznał się zresztą Sienkiewicz dopiero później i połączył jej losy z dra gońskim oficerem Michałem Wołodyjowskim.

Jerzy Wołodyjowski, syn nie zbył zamożnego szlachcica z okolic Kamieńca, Pawła, urodził się prawdopodobnie gdzieś w l. 1624—27, gdyż w 1644 r. rozpoczął swą karierę wojskową w walce z Tatarami, jako młodzieniec dopiero co zbiegły ze szkół. Oto bowiem los o mało nie skierował późniejszego obrońcę Kamieńca do służby zakonnej. Co prawda nie do

kamedułów, jak to nim zadysponował Sienkiewicz, ale do franciszkanów. Strój jego Wiktor czy Walerian, znany pod zakonnym imieniem Szymona, był franciszkaninem i na tej drodze doszedł nawet później do dość wysokich godności.

Przygotowując się do zakończenia kariery listną nawet ów Jerzy, prawdopodobnie w kamienieckich czy też w barskich szkołach, coś niecoś nauki skoro potrafił pisać nadzwyczaj po prawnej jak na owe czasy polszczyznę, cytował starożytnych pisarzy, a nawet łacińskim wierszem układał ode na cześć nieudolnego zresztą hetmana Stanisława Rewery Potockiego.

Czasy były jednak niespokojne, a podolska młodzież szlachecka rwała się bardziej do szabli niż do brawliarza. Nie więc dziwnego, że ku wielkiemu zmartwieniu rodziny zrezygnował Jerzy z duchownej kariery i wstąpił w szeregi wojskowe. Jak wynika z jego późniejszych suplik po raz pierwszy prawdopodobnie walczył proch w bitwie pod Ochmatowem w 1644 r. Dalsze losy jego kariery wojskowej są nam nie znane. Dowiadujemy się jednak, że w 1653 r. walczył pod wodzą rotmistrza Kondrackiego w Mołdawii, przeciwko młodemu małżonkowi pięknej gospodarówny Rozandy Lupulówny, Tymoszkowi Chmielnickiemu. Później oddał jakieś większe usługi pod czas kampanii zwanieckiej „lis ty nosząc” do chana krymskiego Islam Gireja, którego się udało odciągnąć od sojuszu z powstańcami kozackimi. Nagro-

dy za to żadnej nie otrzymał skoro skarżył się później do swego protektora Stanisława Rewery Potockiego, że za swą przeszłość 10-letnią służbę i odniesione rany na tylko podziurawiony kufalem kaftan i kulawą kobyłę.

Później, nie wiemy zresztą dokładnie w jakich latach, pełnił pan Jerzy funkcję oficera milicji powiatu kamienieckiego i dobrze się zasłużył w opinii tamtejszej szlachty, jako pogromca „kup swawolnych”. Prawdopodobnie po śmierci ojca odziedziczył maleńki majątek, na który między innymi składała się niewielka część osady Paniołce Zielenieckie nad Zbruczem. Osada ta, tak zresztą jak i kilka innych wsi okolicznych, stanowiła własność zamożnego szlachcica, miecznika podolskiego, Walentego Jeziorowskiego. I tam to prawdopodobnie w jego domu pan Wołodyjowski zapłonął głębokim afektem ku jego leciwej córce, czy też raczej ku majątkowi pana miecznika.

Ow „hajducek” wybranka serca „malego rycerza” nie nazywała się co prawda Barbara, ale Krystyna. Nie było to dzieło zbyt młode wiekiem, skoro zdążyła już pochować trzech małżonków. Skromnie licząc musiała być ona starsza od pana Wołodyjowskiego o 6—10 lat, a może nawet i więcej. Pierwszym jej mężem był rotmistrz Paweł Swirski, który poległ pod Zborowem w 1649 r. Drugim był rotmistrz Kondracki, zwany niekiedy Konrackim, ten sam pod którego komendą w 1653 r. służył Wołodyjowski.

PRZESZŁOŚĆ i TERAZNIEJSZOŚĆ

Dalszy ciąg ze str. 1

z negacji ostatnich wysiłków, przeszła w obojętność lub zamknięcie się na czasy nowsze. Po ujemnym krytycznym stosunku do bliższej i dalszej przeszłości, w okresie przygotowań moralnych do wielkich zmagani światowych, powstała synteza idealizacji prawie całej przeszłości, dążenie do tworzenia bohaterów narodowych do ponownego w przeszłości, w przeszłości najbliższej szukania praw, uzasadniających istnienie niezależne w przyszłości". Słowa te wypowiedział wybitny polski historyk M. Handelsman w 1931 roku. Zawarł w nich syntetyczny obraz dziejów polskiej nowożytnej myśli historycznej, refleksji pokoleń nad ojczyzną przeszłością. Sądził wtedy, że spory między tymi, którzy opowiadali się za pesymistyczną koncepcją dziejów narodowych a tzw. „optymistami” stanowiły sprawę przebrzmiałą: „obecnie, po optymizmie, nadszedł czas na realizm” — pisał.

Zatrzymajmy się chwilę nad tymi pojęciami. Zwolennicy pesymistycznej koncepcji dziejów Polski głosili, że przyczyną upadku państwa w wieku XVIII były własne winy narodu. „Ostatnim słowem świadectw historycznych (...) jest, że upadku swego Polacy sami są sprawcami i że nieszczęścia, które na nas spadły wówczas lub później, zasłużoną są przez naród pokutą” — pisał W. Kalinka. „Nie granice i nie sąsiedzi, tylko nieład wewnętrzny przyprawił nas o utratę politycznego bytu” — podkreślał M. Bobrzyński. Poszukiwanie przyczyn upadku w wewnętrznych tylko stosunkach panujących w dawnej Rzeczypospolitej wiązało się z lojalistycznymi postawami politycznymi w terażniejszości i wiodło do potępienia wszelkich zrywów narodowych, w szczególności zaś powstań. Dla J. Szujskiego stanowiły one przedłużenie szlacheckiej anarchii, były „liberum conspiro”, swobodnym spiskowaniem, godnym najostrejszego potępienia. Pozostawała uległość wobec zaborców i oczekiwanie na łaskę. Czyż? — wskaz

dość inni romantycy a tezę, że upadek państwa nadszedł w chwili przezwyciężenia przez polskie społeczeństwo swych wad rozwojowych. W. Smoleńskim i T. Korzonem na czele, później zaś do lelewelowskiego optymizmu będzie nawiązywała lewica niepodległościowa. Optymistyczna koncepcja dziejów narodowych reprezentowana przez S. Askenazego i jego szkołę oraz przez innych historyków, sprzeciwiających się poglądom głoszonym przez stańczykowską szkołę krakowską dzierżyła bezsprzeczny prymat w polskiej myśli historycznej u progu drugiej niepodległości.

„Nadszedł czas na realizm” — powiadał M. Handelsman — bo wiem zwolennicy konkurujących ze sobą koncepcji popadali zbyt często w skrajności, nieraz jaw nie rozchodzili się z tym, co rzeczywiste można było wyczytać ze źródeł... Dzieje nigdy nie są czarno-białe; taką może być tylko historia, czyli ich mniej lub więcej doskonały opis. Wiele w tym racji. Ale dzieje aktualizują czasem stare koncepcje wbrew przewidywaniom historyków. I tak się stało. Polska myśl historyczna nie rozwijała się bowiem dalej w kierunku spokojnego „realizmu”. Tragiczne dni września

1939 roku, lata okupacji i wreszcie odrodzenie się Polski na nowych podstawach społecznych i politycznych sprawiły, że dawne spory historyczne nabrały nowych treści. Odżył nie tylko dawny stańczykowski pesymizm w poglądzie na przeszłe dzieje narodu, ale nabrał nowej aktualności i pogląd optymistyczny. Nawiązujemy doń coraz śmielej dziś, kiedy toczymy walkę o uznanie, że nie wszystko w dziejach II Rzeczypospolitej było złowrokiem, że mimo niewątpliwych cieni nie sposób negować tego, że było i sporo blasków, że upadek państwa polskiego — nie ten dawny, XVIII wieku, lecz przede wszystkim ów najbliższy, wrześniowy, nie był wyłącznie naszą winą, choć i win było немало. Nawiązujemy doń coraz śmielej dziś, kiedy coraz wyraźniej podkreślamy, że decydujące znaczenie dla odrodzenia się państwa polskiego w jego nowym socjalistycznym kształcie posiadała nie tylko taka czy inna międzynarodowa koniunktura i decyzje podejmowane niemal po za nami, lecz przede wszystkim zbrojna walka całego narodu z hitlerowskim okupantem, walka, której rozmiary bywały niesłusznie pomniejszane z krzywdą dla tych wszystkich, którzy w niej brali udział a zwłaszcza tych, którzy oddali w niej swe życie. Nawiązujemy doń dziś, kiedy po

kazujemy rodzime korzenie polskiej demokracji i socjalizmu, co raz lepiej staramy się zrozumieć wkład polskiej lewicy społecznej, kiedy wskazujemy, że nasza dzisiejsza socjalistyczna rzeczywistość jest wynikiem długotrwałego procesu dziejowego, dziejącego się nie jakby automatycznie poza nami i bez naszego udziału, lecz tworzonego w walce przez nas samych i przez naszych poprzedników, gdziekolwiek i kiedykolwiek by oni nie działali. Nawiązujemy doń dziś, kiedy odpierając zarzuty naszych przeciwników wskazujemy na międzynarodowy kształt naszego polskiego patriotyzmu, zgodny z naszą dziejową tradycją... W toczącej się dziś walce ideologicznej dawne, zdawałoby się przestarzałe i nieaktualne koncepcje historyczne, nabierają nowych treści, istnieją i żyją wciąż w społecznej świadomości niezależnie od tego, czy to się nam podoba, czy też nie. Najgorzej brać życzenia, swe za rzeczywistość.

ANDRZEJ FELIKS GRABSKI



I ów zastężony zresztą dla ojczyzny wojak, doskonały zresztą dowódca, wstawiając się do młodego kompana, zachorował nagle i zmarł. Pani Krystyna niedługo jednak czekała na trzeciego małżonka. Został nim nie kto inny jak rotmistrz Mikołaj Zaćwilichowski, którego postać wymieniana jest w „Ogniem i mieczem” jako starego komisarza kozackiego, Rusina wiernego Rzeczypospolitej. W rzeczywistości ów zastężony zresztą oficer chociaż wywodził się z prawosławnej szlachty był już prawie zupełnie spolonizowany i wyznawał katolicyzm.

Małżeństwo z Zaćwilichowskim trwało kilka lat. Prawdopodobnie jednak w 1659 r. i ów trzeci małżonek panny Jeziorowskiej rozstał się z tym światem. I oto przed panią Krystyną stanęła trudna sprawa znalezienia sobie odpowiedniego czwartego małżonka. A widąc leciwą wdowę po trzech rotmistrzach miała jakąś słabość do „oficyerów” skoro zdecydowała się na pewnego rodzaju mezalians łącząc swe losy z dość niezamożnym panem Jerzym Wołodjowskim.

Małżeństwo ze starszą lecz bezdzielną i majątną wdową za warcie w 1662 r. stało się podstawą do życiowej kariery dla skromnego dotychczas oficera. Pamiętać bowiem musimy, że przy ówczesnej strukturze wojskowej znacznie częściej o karierze oficerskiej decydował majątek i rodowe koneksje niż męstwo i zdolności. Pan

Wołodjowski wszedł teraz do grupy zamożnej szlachty województwa podolskiego. Dzielił czas między zajęciami wojskowymi, a osobistymi sprawami majątkowymi. Na nieszczęście w tamtych latach o wiele bardziej znana nam jest druga strona działalności pana Jerzego. Energiczny wojskowy dorabiał się znacznej fortuny. Nie można powiedzieć, aby zawsze postępowanie jego można było uznać za nieskazitelne. Dawny wojskowy z bronią w ręku dochodził swych słusznosci, czy też częściej chyba niesłusznosci pretensji majątkowych. Na czele swych kompaniów urządził zajazdy na dwory szlacheckie, a nawet krewniaków. Żołnierzy pozostających pod jego komendą używał nie tylko do obrony granic Rzeczypospolitej, ale do konwojowania olbrzymich stad długonogich siwych wołów stepowych, które na targowiskach miast środkowej Polski sprzedawał śląskim kupcom z Wrocławia i Brzege.

I tak dochodzimy do pewnych powiązań państwa Wołodjowskich z terenem Opoczyńskiego. Drugi małżonek pani Krystyny, rotmistrz Kondracki miał w swym posiadaniu jakieś niewielkie królewskie ziemie w tych okolicach. Prawdopodobnie przeszły one później na jej trzeciego małżonka Zaćwilichowskiego, a być może i na czwartego. Niewykluczone zresztą, że obrót w sprawach majątkowych państwa Wołodjowskich zdając sobie sprawę z niebezpiecznej sytuacji Podola ułożyli część fortuny w tej właś-

nie okolicy. Z Opoczmem łączyły też ich te „wołowe interesy”, a zarówno pani Krystyna jak i pan Jerzy udawali się nieraz do tego miasta.

Z pewnością leciwą wdowę po trzech mężach nie przypomniała zbyt wiele znajemy nam z trzeciej części „Trylogii” Basi. W jednym tylko była jej podobna, że była to niewiasta nadzwyczaj energiczna i nie wzdrygała się do użycia broni w razie potrzeby. Może nie „hajducek”, ale prawdziwy „hajdak”. Odezuł to na własnej skórze jeden z dostojników miasta Opoczna, którego pani Wołodjowska w czasie załatwiania jakichś bliżej nam nieznanych interesów finansowych rąbnęła w łeb czekankiem, że przechorował „aż niedziel 14”. Może na jej rodzinnym Podolu tego rodzaju drobnotka uszlachy na sucho. Tu jednak zrobił się wokół tej sprawy hukacz niemały, a państwo Wołodjowskie zapłacić musieli mieszczanom opoczyńskim niemałą sumkę pieniędzy.

Wróćmy jednak do działalności wojskowej pana Jerzego. Piastujący już w tym czasie tu stolnika przemyskiego Wołodjowski własnym kosztem wystawia chorągiew tzw. piechoty węgierskiej, co nie czyni zresztą bezinteresownie, bo płynący zresztą z kilkuletnim opóźnieniem żołd dla takiego oddziału przynosił zwykłe większe dochody niż dobrze zagospodarowana wieś. W służbie wojskowej dał się w tych niespokojnych latach dobrze poznać rozbiłając czambułki tatarskie

czy też luźne watahy tzw. „grasantów”. Cieszył się też uznaniem ze strony hetmana Sobieskiego, który mu powierzył zorganizowanie silnego posterunku wojskowego w nadnieprzańskich stronach, w Chreptiwie.

Nadszedł wreszcie rok 1672 i nad Podolem zawisło groźne tureckie niebezpieczeństwo. W obłąconym przez mułmanów Kamieńcu odgrywał pan Wołodjowski olbrzymią rolę. Zasiadł też sobie na przydomku, o którym wspomina biskup kamieniecki Lanckoroński, „Hektora”. Mimo jednak bohaterstwa żołnierza polskiego i jego oficerów, spośród których dość zaszczytnie wyróżniał się Jerzy Wołodjowski, słabo zaopatrzony Kamieniec kapitulował.

Gwałtownym protestem przeciw temu był prawdopodobnie desperacki czyn dzielnego dowódcy artylerii kamienieckiego majora Heykinga, który podpalił prochy. Według innej wersji wybuch nastąpił przypadkowo i spowodowany został przez grabieżcy piwnice maruderów. Na skutek wybuchu zginął również Wołodjowski, który dopilnowywał ewakuacji twierdzy. Śmierć tego dzielnego oficera odbiła się silnym echem w całej Rzeczypospolitej.

A tymczasem pani Wołodjowska daleko była od teatru wojny. Wyjechała w bezpieczniejsze strony na Litwę. Później osiedliła się na Wołyniu, gdzie niezadługo poprowadziła

do ołtarza płątego już obłubieńca, Franciszka Dziewanowskiego pisarza ziemskiego podolskiego, który widocznie złączył się na jej wciąż jeszcze sporą fortunę. Niedługo jednak cieszyła się ona tym małżeństwem. Zmarła bowiem prawdopodobnie w końcu 1675 lub też na początku 1676 r. Sprawa podziału majątku po bezdzietnej wdowie doprowadziła zresztą do gorszących sporów, w których padały gęsto trupy, co prawda nie głównych sukcesorów, ale ich służby.

Takimi oto byli państwo Wołodjowskie, których zapożyczony i tak pozmienniane postacie wciąż są żywe dla czytelników „Trylogii”; czy też widzów oglądających wyświetlany właśnie film.

Wszyscy trzej wojskowi, których personalia zapożyczony Sienkiewicz dla swych bohaterów „Trylogii”; a więc zarówno Mikołaj Skrzytuński, Samuel Kmicic, jak i Jerzy Wołodjowski, nie byli z pewnością „wzorami cnót”. W działalności ich można było spotkać czynny, które w świetle dzisiejszych kryteriów uznać można nawet za kryminalne. Tego rodzaju zarzuty należałoby zresztą postawić niemal wszystkim wojskowym, tamtych czasów. Specyficzna bowiem struktura siedemnastowiecznej armii, zwłaszcza zresztą typowe nie tylko dla Polski, ale i dla większości krajów europejskich, powodowała, że nie opłacany niekiedy

całymi latami żołnierz żywił się musiał często z rekwizycji lub nawet zwykłych rabunków, a mankamenty ówczesnych stosunków prawnych powodowały, że kto umiał się z szabłą dobrze obchodzić częściej z niej korzystał niż z porad uczonych jurystów. Nie miejmy więc zbyt wiele pretensji do naszych trzech wojaków, że szabie wyciągali z pochwy nie tylko przeciwko obcemu najeźdźcy. Tak samo jak i olbrzymia większość wojskowych tamtych czasów używali jej również i do swych prywatnych interesów. Dobitnie jednak musimy podkreślić, że wszyscy trzej byli dobrymi żołnierzami, że wielokrotnie odważnie stawiali się swą pierś za Ojczyznę i w jej obronie nieraz przelewali krew. I dlatego chociaż te trzy postacie daleko w rzeczywistości odbiegały od swych fikcyjnych portretów, ożywionych mistrzowskim piórem Sienkiewicza, to jednak powinny pozostać nam bliskie. W nich bowiem czujemy te tysiące bezimiennych żołnierzy, zarówno szlacheckiego, jak również w swej podstawowej masie plebejskiego pochodzenia, którzy po bohatersku przelewali krew w licznych siedemnastowiecznych bitwach w obronie Ojczyzny.

LENIN

(urywek poematu „Hulaj-pole”)

Rosja —
Straszliwy, cudny dźwięków dzwon.
Pierwiosnek w gęstwie brzoź — w rozkwicie.

Z jakiej głębin wyszedł on,
Ten, co przeraził cię, wicherzyciel?
Surowy geniusz! Zauroczył
Nie swą postać — wzrost nieduży.
To nie on gnał co koń wyskoczy
Naprzeciw błyskawicy burzy.
On wrażeń głów nie ścinał szabłą,
We znaki nie dał się piechocie.
Jedyną palbą lubił diablo —
Strzelanie do przepiórek w locie.

Bohater — tylko w masce czarnej,
Bohater to z niezwykłą miną.
A on z dzieciarnią zjeżdżał gwarną
W dół na saneczkach śnieżną zimą.
Grzywą nie pysznił się rozwianą,
Co tak podoba się ogromnie,
Lecz z głową lysą jak kolano
Skromnie się nosił, patrzył skromnie.
Nieśmiały, prostoduszny, miły,
Jak sfinks mający przed oczami.
I nie rozumiem, skąd wziął siły,
By wstrząsnąć globu posadami.
I to jak wstrząsnąć...
Wal z loskotem!
Puść wodze, nawalnico wściekła,
Z kraju naszego — z ludu piekła
Więzień i cerkwi zmyj sromotę!

Monarchia! Lecą smrodne sadze
Nad uczującą wiecznie erą;
Arystokrata sprzedał władzę
Rekinom fabryk i bankierom.
I jęczał lud, i czekał w trwodze
Aż ktoś pojawi się na drodze...
I przyszedł on.

Potężnym słowem
Ludzi ku źródłom powiodł nowym.
I rzekł nam: „Koniec waszej męce,
Wszystko w robocze bierze ręce.
Jedyna ocalenia droga
To władza rad, a nie — od Boga”.

Tam w błyskach poszliśmy nawaly,
Gdzie oczy jego spoglądały,
Tam, gdzie on widział ocalenie —
Ludów i plemion wyzwolenie...

I oto zmarł...
Placz w mury bije.
Muzom nie w smak żałobne głosy.
Wyszczekujące stal kolosy
Oddali salut pod niebiosy.

Ten, co ocalił nas, nie żyje.
Jego już nie ma, ale żywi,
Których zostawił wespół szlaku,
Winni w ślachełnym sił porwywie
Krajinę całą w beton zakuć.

Nie powiesz im,
Ze Lenin zmarł.
Zwątlenie serc ich nie zajęło.

Dźwigają w górę jego dzieło
I większy w nich goreje żar...

Przełożył

LEOPOLD LEWIN

W latach, co wlokły się straszliwie,
Niańczyły nas okrutne łapy.
Na chłopskich nieszczęść marnej niwie
Carskie tuczyły się satrapy.

Czytelnik

LEON
GOMOLICKI

Piszemy książki, wydajemy książki, ale czy znamy dobrze naszych czytelników, czy wiemy, czego oni w książkach szukają, jakie są ich zainteresowania, gusty, pragnienia. Od lat pisarze spotykają się ze swoimi czytelnikami na wieczorach autorskich i w czasie majowych kiermaszy. Czy wiedzą, kto ich czyta i dlaczego. Czy wiedzą, jakie są losy ich książek, losy ich powieściowych bohaterów.

Nasza krótka ankietka stawia sobie jeden tylko cel: ukazać poprzez wyznania pisarzy, jak widzą oni swojego czytelnika, co o nim myślą oraz czy i w jaki sposób wpływa on na ich warsztat literacki.

TADEUSZ
CHROŚCIELEWSKI

Napisalem przed parą laty powieść o pewnym liceum, w którym niegdyś uczyłem.

Książka została nagrodzona, miała dużą prasę lokalną i ogólnopolską, zajęły się nią też, że użyję tego pięknego, szkoda, że ginącego, staropolskiego określenia — środki masowego przekazu. Książka miała dwa pełne nakłady, które się świetnie rozeszły... Po jakimś spotkaniu autorskim bodaj rok temu, podchodzi do mnie o nieśmielona dama w rozkwicie lat i urody; przypomniała, że jest moją uczennicą z tamtego właśnie liceum i zwraca się z prośbą, żebym napisał kiedyś powieść o tej szkole, o tamtych miłych czasach. Inny przykład: napisałem powieść (nad drugą pracuję) i wiele wierszy o moim rodzinnym powiatowym mieście. Powieść ta i owe wiersze są, jak dotąd, jedynymi drukowanymi utworami poświęconymi mojemu miastu. Lokalne czynniki doceniły swego czasu ten fakt: zostałem tam zaproszony z dużą pompą. Gospodarze miasta witali mnie w nabitej sali, nazwali „piewcą ziemi”, której stolicą jest to miasto, zaprosili do prezydium. Powiedzialem tego, co trzeba, część pierwszą — ogłoszono przerwę. Na salę wszedł spóźniony dobry znajomy z dawnych dobrych czasów — inżynier. Rzucił się w moją stronę. Uściski. Pierwsze jego słowa: Tyle lat! Co się z panem dzieje? Wszelki słuch o panu zaginął. Czym pan się teraz zajmuje? Czy nadal jest pan kreślaczem?

Wypowiedź przeczerpnęłam. Trzeba ją teraz rozjaśnić. Z przykładami przeciwnymi mi nie mam zresztą kłopotów. Na przykład ten w małym miasteczku Susz (nie wiem nawet, czy jest tam

Dom Książki), w którym mówiłem o poezji rosyjskiej. Po prelekcji otacza mnie sporawe grono słuchaczy. Pytania: czy się ożeniłem ostatecznie z panną Koroną i jak nam się z nią życie ułożyło? co się teraz dzieje z Gośką? Pytania dotyczyły postaci mojej powieści, pisane, jak sporo książek na świecie, w pierwszej osobie. Ci czytelnicy przeżyli widać książkę mocno, jeśli zatarł się w ich świadomości fakt, że utwór nie jest pamiętnikiem, lecz powieścią, że wszelkimi — zrealizowanymi — prawami do fikcji... A teraz taki przykład. Zbierałem przed laty materiały do opowiadania, którego akcja rozgrywa się w niewielkim mieście za granicą, na południe od Karpat, w 1864 r. (znajdował się tam obóz internowanych powstańców polskich). Stało się, że wiadomość o tym przeszła Karpaty i w gazecie tegoż miasta ukazała się notatka że właśnie pracuję, że właśnie zbieram... O notatce dowiedziałem się od ojców tamtego miasta, którzy z własnej inicjatywy przysłali mi pocztą fotokopie materiałów archiwalnych, album fotografięzny itp. Po jakimś czasie miejscowy polonista poprosił mnie o gotowe opowiadanie. Po jego przełożeniu i wydrukowaniu w tamtym piśmie otrzymałem sporawo listów, z pochwałami, radami, wytknięciem nieścisłości itp.

Wnioski: 1. Liber fiat, ubi vult — zatem książka posiada właściwości, przypisywane przez starożytnych nieuchwytnym duchom:

2. Dokładnym czytelnikiem recenzji jest zainteresowany autor, rejestratorami jego koledzy, pozostali czytelnicy — istoty nie odkryte;

3. Nasz czytelnik — istota miła — replikuje na hasło ankiety — bo istnieje i czyta. A nieznana — bo bierna.

Czy jest możliwość w czasie kiermaszy czy spotkań autorskich poznania czytelników? Mam wrażenie, że imprezy te stworzone są bardziej w celach zaspokojenia ciekawości czytelnika, niż pisarza. Na kiermaszach w natłoku rozda się autografy, nie odróżniając czytelnika od zbieracza podpisów. Większość to dzieci z albumikami, gdzie się podpisuje między kopią Mickey Mouse i autografem kolegi. Podchodzą rodzice z pytaniem: czy ta książka na daje się dla dziecka? Pewna mama kupiła Lokomotywę Tuwima i błagała: Niech mi pan to podpisze, przecież autor nie żyje!

Spotkania autorskie? Tu czytelnicy albo korzystają z okazji obejrzenia z bliska autora przeczytanej książki — jak też on wygląda? Ktoś mi raz powiedział: a ja myślałem, że pan ma o taką brodę i jest znacznie starszy. Albo dowiadują się po raz pierwszy, że taki autor w ogóle istnieje i może warto go poczytać. Toteż w obu wypadkach wygrany jest czytelnik. Powiedzmy, że to on poznaje (nieco powierzchownie) pisarza i niekiedy odchodzi rozczarowany (np. casus z „brodą”).

Czy są jakieś inne możliwości poznania swych czytelników? Arytmetyka na kładow: ilu mnie kupuje? Dom Książki z konieczności prowadzi taką statystykę (remanentów). A może do czytelników można zaliczyć recenzentów książek? Wtedy sprawa byłaby jasna i prosta. Ale wiem, chodzi o czytelników, którzy nie wypowiadają się na łamach prasowych. Skąd więc mogę wiedzieć, w jakich ilościach chłapie i z jakim skutkiem mnie czytają? Jeszcze w wypadku jednostek... Tak, sprostowany ankietą „Odgłosów”, przeprowadziłem wywiad z pewną osobą, o której wiem, że czyta moje książki. Oto jej odpowiedź w skrócie:

— Losy bohaterów? anegdota? to w pana powieściach najmniej istotne. To tylko oś, dookoła której snuje pan swoje wątki i myśli, bo całość musi mieć kościelce. To jest to, co powinno być w literaturze: nieraz pisze się książki, aby powstała jedna dygresja. I po to się je czyta, aby tę dygresję od należeć.

Aby wszystko było dopowiedziane: czytelnik ten nie jest przeze mnie sfingowany, istnieje naprawdę i nie należy do ludzi pióra, którzy



Grafika Karola Reicha

EDWARD KOPCZYŃSKI

Zyrafa

Przyszedł do nas późno, bo w drugiej połowie czterdziestego czwartego roku, na jesieni już, kiedy chwały pierwsze przymrozki. Prawdę mówiąc nie przyszedł sam, przyprowadził go Jakubiec, jeden z najstarszych gwardzistów. Podobno tamten szwendał się po lesie, w pobliżu naszego biwaku, a zatrzymany przez wartownika powiedział, że szuka partyzantów. Kiedy Jakubiec z nim przyszedł, był późny ranek i chłopcy jedli akurat śniadanie — pił herbatę i palaszowali chleb z serem.

Przyprowadzony człowiek był bardzo wysoki i przeraźliwie chudy z gołą głową, w gumniakach na nogach, w samej koszuli pod kaptur, ze strzelbą na ramieniu. Chłopcy oglądali go, a Wojtek, zadziorny miłokos z Sulejowa, powiedział że śmiechem:

— Patrzcie go, jaki gorący — w koszuli chodził z rozpiętym kołnierzykiem.
Obcy miał twarz ściągniętą jakby w grymasie bólu i zdawało się, że słów Wojtka nie słyszał.

— Zyrafa — dodał Wojtek — Zyrafa, jak Boga kocham.

„Zyrafa” stał nieruchomo, potem poprawił strzelbę na ramieniu. Popatrzyłem na niego uważnie i spytałem:

— Skąd jesteś?
— Z Białoska.
— Z tych Białosk, gdzie jest dworek?
— Z tych.

Spojrzałem na niego ostrzej.

— Coś taki skąpy?

Nie zrozumiał.

— Gadał skąd jesteś, co robiłeś, skąd masz broń? Położył rękę na kolbie dubeltówki, a Jakubiec krzyknął:

— Trzymaj łapy przy sobie, ty...

— Zyrafol — dorzucił Wojtek.

— Spokój! Zwróciłem się do chłopaków, a obcemu rozkazałem.

— Oddaj strzelbę!

Nie poruszył się.

— Oddaj strzelbę! — krzyknąłem. — Słyszysz?

Uczynił bezładny ruch rękoma, ale strzelby z ramienia nie ściągnął, mówił z trudem:

— Strzelby nie oddam, luty puste, mogę pokazać, naboje oddam. Zaczął grzebać w kieszeniach spodni, wyjął pięć ładunków w metalowych łuskach, położył je do jednej ręki i wyciągnął przed siebie.

— Dam mu w łeb, to oprzytomnieje — zaproponował Jakubiec. — Nie, tylko jakiś sukiasyn, można, poruczniku?

— Daj spokój — powiedziałem i powtórzyłem rozkaz:

— Oddaj strzelbę!

Twarz chudego wykrzywił skurcz, przelknął ślinę, jakby Adama przejechało w górę i wróciło w dół,

widoczne jak na dłoni pod skórą szły, ale do strzelby nawet nie sięgnął. Miałem już tego dość, krzyknąłem głośno:

— Oddaj broń, bo każę rozwalić!

Wysoki jak sosna, runął nagle na kolana. Kłęcząc rzucił przed siebie naboje, skomlał jak zbity pies:

— Nie oddam, panie, nie oddam. Zastrzelicie, a nie oddam.

Uczulem pot na czole. Ten kłęczący przede mną człowiek w jakiś dziwny sposób obezwładniał mnie — chciałem podejść bliżej i walczyć go w gębę, ale nie mogłem. Jakubiec i Wojtek musieli odczuwać coś podobnego — stali i gapili się na nieznajomego z otwartymi ustami.

Rozmowie, jeśli tak można było to nazwać, przysłuchiwał się Gruby — stał trochę w prawo ode mnie i patrzył na Zyrafę. Gruby miał około czterdziestki i uchodził w naszym oddziale za znaną broń. Był nim zresztą na pewno, bo gdy chłopcy mieli jakieś kłopoty z pukawkami, szli do niego, zawsze coś zaradził. Teraz podszedł do kłęczącego Zyrafy i patrzył na dubeltówkę zaskoczony, jakby nie wierzył własnym oczom. Zyrafa spojrział na niego podejrzliwie i podniósł się z kłęczek — odsunął się od niego. Nie panując już nad sobą, krzyknąłem:

— Oddaj broń!

Musiła być w moim głosie jakaś ostateczna pasja, bo Zyrafa zawałał się, zamachał rękoma, jakby nie wiedział, co z nim zrobić, wreszcie ze łzami w oczach (wyraźnie widziałem łzy) oddał dubeltówkę Grubemu. Teraz Gruby chyba oszalał. Trzymał dubeltówkę w rękach i wydawało się, że nikogo nie widzi. Rękawem przecierał kolbę i lufy, chuchał, dmuchał, szepcząc do siebie:

— Nie do wiary, nie do wiary. Taka strzelba tutaj. Nie do wiary, to niemożliwe...

Miałem już dosyć tej całej historii, krzyknąłem znów:

— Gruby, co ty! Zwarłowałeś!

Oprzytomiał, spojrział na mnie i mówił z zachwytem w oczach:

— Nie, nie zwarłowałem, ale to cacko, to majstersztyk — wyciągnął dubeltówkę przed siebie. — To jedna z najlepszych strzelb, popatrzcie — to belgijska broń, światowej sławy... To jest „Syrena”. „Syrena Hammerless”, system Holland and Holland, z przednim pudłem systemu Purdeya, z ektorem Holland. — Gruby złamał strzelbę i mówił jakby do siebie: — W obu lufach pełne czoki, prawy cyngiel ruchomy na szarnierze, baskila hartowana na kolor marmurowy, pokryta całą angielskim grawerunkiem bukietowym... Niewiele wtedy z tego zrozumiałem poza tym, że dubeltówka jest doskonała, ale patrzyłem jak urzeczony na Grubego. Nigdy go takim nie widziałem. Był dobrym żołnierzem, koleżeńskim, odważnym, lecz raczej zamkniętym w sobie, nie lubił wiele mówić. Teraz widziałem przed sobą zupełnie innego człowieka, w jego oczach była tkliwość i rozrzwienie, a jego brudne, szorstkie ręce stały się nagle czyste i troskliwe jak ręce matki — tak wtedy pomyślałem — piękny strzelbę. Gruby patrzył na mnie oczyma pełnymi blasku i wyjaśnił jeszcze, jakby rozumiał, że może tym mnie przekona.

— To jest warte... to było warte majątek, ta strzelba kosztowała przed wojną tysiąc trzysta złotych, pamiętam dobrze, jakbym teraz czytał cenik Zięglera i dwudziestego ósmego roku — tysiąc trzysta, mogę dać głowę,

— istota nieznana?

— jak wiadomo — rzadko kiedy „czytają się nawzajem”.

Pozostaje odpowiedź na ostatnie pytanie: co myślę o swoim czytelniku? Myślę, że jest inteligentny.

JAN HUSZCZA

O wszem, raczej istota nieznana. Daje jednak znać o sobie jako „isto- ta wieloosobowa” z ra- cji poszczególnych książek: jedne rozchodzą się niemal błyskawicznie, inne, wydane w podobnych nakładach, od lat figurują w „Katalogu składowym”. W moim na przykład wypadku: dlaczego „Wiersze wybrane” (Czy- telnik, 1959) rozchodzą się do dziś, zaś „Nowy wybór wierszy” (Wydawn. Łódzkie, 1963) rozszedł się w ciągu miesiąca?

Ankieta „Odgłosów” do- tyczy przede wszystkim tzw. spotkań autorskich. Prze- ważnie nazwa tych spotkań powinna brzmieć inaczej: spotkania piszących z czyta- jącymi, gdyż częściej orga- nizatorzy proszą o „jakiegoś literata”, niż o wymienione- go z nazwiska, niż o temat.

Dzieje się tak zwłaszcza w maju — miesiącu akcyj- ności i kampanijności. I chy- ba w tym miesiącu jest naj- więcej spotkań nieudanych. Rangę spotkań obniżamy czasem i my sami. Tzn. ci spośród nas, którzy ze wzglę- du na honorarium, gdyż za- robki literatów są legendą, godzą się na byle propo- zycję a nawet o propozycję za- biegają.

Do podniesienia rangi spot- kań literackich np. w nie- których świetlicach łódzkich, nieraz przypominających du- że i wcale eleganckie gro- bowce, mogłoby się przyczy- nić dyrektorzy, sekretarze i w ogóle administratorzy. Mi- mo braku czasu, mogłoby raz do roku zjawić się cho- coby na majowym spotkaniu. Wzmocniłoby to autorytet etatowego działacza kultural- nego — kaowca czy bibliote- karki, wpłynęłoby na frek- wencję choćby w myśl przy- słowia: „pańskie oko konia tuczy”. Jest bowiem oczywi- stością, iż właściwie przygo- towane spotkanie, jeśli au- tor potrafi nawiązać kon- takt, jeśli dysponuje różny- mi tekstami, od wierszy do humoresek, zawsze musi się udać.

Dyrektorzy, sekretarze, ad- ministratozy — istoty nie- oglądane! Podobnie bywa „w terenie” z nauczyciel- stwem. Człowiek dowiaduje się, że w pobliżu jest szko- ła, ale nikt z szacownego składu grona się nie zja- wił. Nawet polonistka czy

polonista. Nauczyciel — isto- ta nie oglądana.

Aha! Zdarzyło mi się raz, że uczestnicy spotkania spo- wodowali napisanie wiersza. Było to bodaj w 1960 roku w malowniczej Warcie, jak- łatwo się domyślić, nad War- tą. Na spotkanie przyszedł kto żyw z władzami miejsco- wymi na czele. Mówiliśmy o różnych sprawach, wreszcie, gdy się przyznałem, że mia- steczko z wielu względów bardzo mi się spodobało — poproszono o napisanie wiersza. Ku swemu, zaskoczeniu, rzeczywiście po jakimś cza- sie napisałem „Notatkę z Warty”.

Anegdota i różnych perype- tii, związanych ze spotkani- ami, radzę szukać w książce Henryka Worcella „Wieczor- y pod lipą”. Wyszły w ub. roku. Wędrowni autorskie są w niej tylko pretekstem, do podzielenia się z czytel- nikami bogatymi obserwac- jami i spostrzeżeniami, cel- nymi uwagami na temat na- szej codziennej współczesno- ści. Mądra i dowcipna książ- ceczka. Dowodnie świadczy o tym, iż „spotkania autora z czytelnikami” są w jakiś sposób potrzebne dla obu stron: dla słuchaczy i dla pi- sarzy. Także w wypadku do- świadczeń ujemnych.

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

N ie wierzę, że mogą istnieć pisarze, którzy lekce sobie ważą czytel- nika, nie myślą o nim, nie chcą go mieć i to w liczbie maksy- malnie dużej. Snobistyczne gaworzenie o czytelniku, który w sto lat przyjdzie po nas — dla nas, nie może przesłonić oczywistego fak- tu, że chcemy wiedzieć nasze książki w rękach współczes- nych.

Jednakże sama rola czytel- nika wobec autora nie jest dla mnie jednoznaczna. Czytelnik może znaczyć wie- le i może nie nie znaczyć. Nie znaczy nie wtedy, gdy pojawi się na spotkaniu nie- zadawszy sobie trudu prze- czytania jakiegokolwiek z na- szych książek. Nie zawsze to jego wina. Bywa przecież niejeden raz, że prowadzą- cy spotkanie pyta głośno, przy wszystkich pisarza, jak się szanowny autor na- zywa. Kontakty, oparte o gruntowną i wzajemną nie- znajomość, mogą się przy- dać wszystkim prócz auto- ra.

Nasz łaskawy czytelnik znaczy bardzo dużo, kiedy zna autora, śledzi jego twór- czość i wypowiada się otwar- cie o takiej czy innej książ-

ce. Przyznam, że sam wiele skorzystałem z uwag czytel- ników. Zarzucali mi całkiem konkretnie nadużywanie zbyt mocnych określeń (czu- li są na tym punkcie zwa- szcza nauczyciele i bibliote- karze) niedowład akcji, trud- ne i nie zawsze potrzebne filozofowanie (raczej mło- dzież, która lubi akcje wart- kie) pamiętam też, że pod- czas spotkań w jednostkach wojskowych zwracano mi uwagę na moje oczywiste braki w wykształceniu na- tury strategicznej itd. Wbrew pozorom tego rodzaju kryty- ka niejeden raz okazuje się bardziej pożyteczna od tak- zwanej zawodowej.

Idealem czytelnika — jak- sędzę — pozostaje ten, któ- ry nie tylko czyta nasze książki, ale także mówi in- teresująco o sobie, swoich doświadczeniach. Patrząc na kompanię wojska nie pozna- jemy poszczególnego żołnie- rza, podobnie mają się rze- czy z ad hoc zebranymi uc- zestnikami spotkań z pisa- rzami. Jest wszakże możli- wy stały kontakt z czytel- nikami. Tak właśnie dzieje się w wypadku grupy pisa- rzy naszego środowiska, któ- rzy współpracują ze „swoi- mi” zakładami pracy. Jeśli o mnie chodzi — bardzo wie- le zawdzięczam spotkaniom w Zakładach im. 9 Maja. Lu- dzie, a są to robotnicy, czę- sto starsi, mówią o sobie, ale to przecież tylko część prawdy, gdyż mówiąc o so- bie — ilustrują niejako bar- dzo istotne fragmenty daw- nego robotniczego losu, wzbogacają więc naszą wie- dzę autentycznym materia- łem, służą bezpośrednio war- sztatowi pisarskiemu. Rzecz- prosta ten rodzaj stałego kon- taktu z czytelnikiem cen- nię sobie najwyżej.

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

M oja odpowiedź będzie miała charakter ambi- walentny czyli dwu- wartościowy w sensie, pod jednym względem — tak, pod innym — nie!

1. Nie znamy naszych czytelników i gdybyśmy brali udział nawet w niezli- czonej ilości spotkań autors- kich, nie dowiemy się nigdy, czego nasi czytelnicy n a p r a w d e szukają w naszych książkach. Na prze- szkodził stoł publiczny cha- rakter wieczorów autorskich: olbrzymia większość słucha- czy, nie przyzwyczajona do wystąpień przed dużym au- dytorium, nie ma odwagi, żeby zabrać głos, a zwa- szcza wstrzymuje się ze- szczerą wypowiedzią w oba- wie przed narażeniem się na

ośmieszenie. Raczej na wie- czorach o charakterze kame- ralnym (15 do 20 osób) możemy dowiedzieć się, jak-iego rodzaju są rzeczywiste zainteresowania czytelników naszych słuchaczy. Zaintere- sowania te skierowane są w pierwszym rzędzie ku po- wieściom historycznym i to — spośród czytelników śred- nio wyrobionych — ku po- wieściom nie najwyższej miary. Kraszewski, Kaczko- wski, Sulkowski wciąż jeszcze są bardziej poczytni od pi- sarzy, którzy w tym gatun- ku powieściowym stawiają sobie bardziej ambitne za- dania, żeby wymienić choćby Hannę Malewską, Gołubie- wa lub Zbigniewa Zielenkę, nie mówiąc już o bardzo „trudnym” Teodorze Parni- ckiej. Chyba w drugim rzę- dzie zainteresowań czytelników mieszczą się powieści obyczajowe o wątku ro- mansowym, no i „krymina- ły”.

2. Kto nas czyta i dlaczego, nie wiemy. Prawidłową odpowiedź na to pytanie mo- gą dać socjologowie zajmu- jący się naukowym bada- niem czytelnictwa w róż- nych regionach naszego kra- ju.

3. Czasem, z grubsza bio- rąc i oczywiście częściowo dowiadujemy się o losach naszych książek udzielając autografów na kiermaszach różnego rodzaju. Są to jed- nak mało znaczące objawy poczynności. Znacznie więcej na ten temat mogą powie- dzieć pracownicy księgarń, szybko orientujący się, który „tytuł” jest „chodliwy”, a który zalicza się do tzw. „ce- giel”.

4. Losy powieściowych bo- haterów? Jak dotąd, spośród licznych postaci moich po- wieści — o ile się orientuję — dość dużym zainteresowa- niem cieszy się Wojnicz z utworu „Czas pojedna, tra- wa porośnie”. Może dlatego, że walczy w obronie innych nie oszczędzając się, a przy- tym żyje pełnią życia osobie- nego, bogatego w doświadc- zenia miłosne?

5. Nie wierzę w to, co się nazywa wpływem spotkań autorskich na warsztat pi- sarski. Mają one wpływ ra- czej ujemny odrywając pi- sarza od jego pracy. Nato- miast skłonny jestem sądzić, że niekiedy spotkania z in- teresującymi ludźmi na wie- czorach autorskich mogą wzbogacić wiedzę pisarza o

życiu i świecie i zwrócić je- go uwagę na sprawy znaj- dujące się poza jego zain- teresowaniami. Dla przykła- du: w Domu Kultury w mieście N. po wspólnym wieczorze z Janem Koprow- skim podszedł do nas jeden ze słuchaczy dziękując za to, że poruszyliśmy problem wy- obcowania w dyskusji, jaka się wywiązała na temat fil- mu Antonioniego „Powieks- zenie”. Okazało się, że nasz słuchacz pomimo, że poświę- cał dużo czasu pracy spo- łecznej, czuł się wyobcowa- ny z miejscowego środowi- ska. Starałem się go przekon- ać, że źle nas zrozumiał, gdyż wyobcowanie polega na wyizolowaniu, odosobnieniu, od ludzi i ich spraw, zaś je- go działalność społeczna powinna być zaprzeczeniem negatywnej relacji; „świat i ja”. Musiałem jednak prze- milczeć, że może działalność społeczna naszego rozmów- cy miała charakter formal- ny czyli w istocie — niez- angażowany. Tego rodzaju przypadkowe rozmowy i zwierzenia osobiste słucha- czy po wieczorze autorskim mogą stać się niekiedy inspi- racją do szerszej rozbudowa- nego tematu.



Fot. A. Wach

Zyrafa, który przysłuchiwał się uważnie jego słowom, powiedział nagłe:

— Prawdę mówię, to jest strzelba dziedzica z Bła- zek.

Spojrzałem na Żyrę.

— Ukradłeś?

— Ukradłem — przyznał bez najmniejszego zało- nowania.

— Toś złodziej.

— Nie, ja nie złodziej, wiedziałem, gdzie była za- kopana i jak sobie zamierzylem, to wykopałem.

— Co zamierzyleś? — warknąłem wściekły, bo cała sprawa wymykała mi się z rąk.

Patrzył na mnie znów bezradny, otarł rękawem oczy i powiedział cicho:

— Zamierzylem do partyzantki. Ojca mi zabił.

Patrzyliśmy na niego zaskoczeni, Wojtek spróbo- wał jeszcze:

— Patrzcie go. Partyzant. Buja nas, chce się wy- kpić.

— Nie kłamię! — krzyknął Żyrafa. — Nie kłamię!

Stal teraz przed nami wyprostowany, zdawało się

jeszcze wyższy, z palającymi oczami.

— Szedłem do was, szukałem was, a wy do mnie jak Niemce...

— Siu! pyski! — warknął Wojtek. — Niemcami będziecie nas...

— Spokój! — rozkazałem i spytałem Żyrę:

— Za co ojca zabił?

— Żyto schował.

— Kiedy to się stało?

— Będzie już dwa tygodnie.

— Mówiłeś, żeś z Błazek.

— Z Błazek.

— Sprawdzimy.

— Możecie sprawdzić, prawdę gadam,

Patrzyłem na Żyrę i nagle zrobiło mi się go- zał. Zyciwieli już spytałem:

— Ile masz lat?

— Dwadzieścia skończyłem w lipcu.

Nie zdziwiłem się, choć przed chwilą trudno by

mi było określić jego wiek — wysoki, chudy, z twa- rzy nie chłopak już, ale jeszcze nie mężczyzna.

— Partyzantem chcesz zostać? — spytałem uśmie- chając się.

— Chcę.

— Dobrze, ale sprawdzimy to, co mówiłeś. Jeżeli

prawda, dostaniesz karabin.

— Nie chcę karabinu.

— Oszalałeś! Dlaczego nie chcesz?

— Mam swoją strzelbę.

— Strzelbę oddasz.

— Nie oddam!

„Masz, babo, płacek — pomyślałem. — Jak z ta- kim gadać”.

— Ze strzelby chcesz do Niemców pruć?

— Chcę.

— A potrafisz?

— Potrafię.

— Strzelasz już?

— Nie.

Zirytowało mnie znów to wszystko, wykrzykną- łem z gniewem:

— Glupców z was robisz! Nie strzelasz, a potra- fisz!

Żyrafa zaczął mówić gorąckowo:

— Nie strzelałem, ale potrafię, mogę przysiąc, że

potrafię, głowę mogę dać.

... Od wielu lat się uczyłem, nasz dziedzic po- łał, wciął zjeżdżał do niego goście, a ja chodzi- łem w naganie, od chłopaka chodziłem. Płacił za

to, a grosz był zawsze potrzebny... Ale ja nie dla

pieniędzy chodziłem, nie dla zarobku. Gdyby nie

placili, też bym chodził. Ciągnęło mnie, jak wilka

do lasu... Było we mnie coś, że ani rusz nie mo- gli polować beze mnie... Jak polowanie, to za- wsze musiał być, mogłem nie jeść i nie spać, było

być, byle patrzeć na strzelbę, na polowanie... Ja

znałem od pierwszej chwili, od samego początku.

— Co za ja? — spytałem, nie wiedząc, o czym

mówi teraz Żyrafa. Spojrzał na mnie zdziwiony.

— Ja, tę strzelbę — wskazał ręką dubeltówkę,

którą trzymał Gruby. — Słyszałem raz rozmowę na- szego dziedzica z jednym z gości, mówił o niej,

dziedzic pokazywał i podał tę cenę — tysiąc trzy- sta złotych. Zdziwiłem się wtedy i zapamiętałem

dobrze, bo gospodarka ojca też była warta, piaski

były u nas... — urwał, popatrzył na nas

badawczo i cicho mówił dalej:

— Często nie mogłem spać. Zamykałem oczy

i widziałem siebie z tą strzelbą. Składałem się,

głaskałem ją rękoma — uśmiechnął się — i wtedy

nauczyłem się strzelać... tak tylko... — w my- ślach.

Spojrzałem na Grubego — mrugnął znacząco. Po- wiedziałem niepewnie:

— Tak nie można nauczyć się strzelać.

— Można! — gorąco zaprzeczył Żyrafa. — Można,

i to nawet nie trudno... Składałem się tysiące razy,

kolba sama wskakiwała w dół, a oko biegło po

lufach, po muszce... Można się nauczyć, wiele no- cy takich było, nie zliczyłoby...

Patrzyłem na Żyrę jak zahipnotyzowany.

— Jak ją zdobyłeś?

— Zwyczajnie — Żyrafa uśmiechnął się. — Przy-

padkowo wiedziałem, gdzie dziedzic ją zakopał. Nie

myślałem wcale brać, ale jak ojca zabił, to

wszystko się zmieniło, wykopałem i postanowiłem

szukać partyzantów.

— Jakich? — spytał Jakubiec.

— Wszystkie jedno takich, byle białe Niemców...

Został u nas, a przewziewo Żyrafa przynętno do

niego na stałe. Sprawdzaliśmy w Błazkach, wszyst- ko się zgadzało. Działaliśmy wtedy w dwóch po- wiatach, piotrkowskim i radomszczańskim, głównym

zadaniem było zrywanie komunikacji kolejowej.

Niemcy stłumili powstanie w Warszawie, miasto

leżało w gruzach, mogli teraz zabrać się do nas,

ściągnąć rezerwy, bo front zatrzymał się nad Wis- łą. Żyrafa był z nami w niejednej potrzebie, nie-

jednemu pociąg wyleciał w powietrze, był zawsze

pierwszy w akcji. Rzeczywiście umiał strzelać —

dziwne to było, ale umiał. Zaprzyjaźnił się z Gru- bym, śladował zawsze koło siebie i gadał. Pod

ręką zwykle była dubeltówka. Układałem się —

dwóch zakochanych w dubeltówce, każdy na swój

sposób. Gruby jak zwałca broni, jak łachowiec po-

dziewający doskonałość strzelby, a Żyrafa jak chło- piec marzący o polowaniu, o myśliwskiej przygo-

dzie...

W czterdziestym piątym roku w wyzwolonym

Radomsku z całym oddziałem wstąpiłem do armii,

ale bez Żyrę. Nie chciał wstąpić. Mówił, że mu- si być w swojej wai, bo ziemię będą dawać. Od-

szedł od nas, ze swoją dubeltówką.

Nie widziałem go odtąd, ale wierzę, że jeżeli ży- je, to ziemię dobrze uprawia i strzela ze swojej

„Syreny”... Darz Bor, Żyrafo — niech ci się szcze- ści i w polu i w lesie, zasłużył sobie na to, wy-

marzył w chłopięcych snach... Darz Bor, Żyrafo.

Z tomu opowiadań myśliwskich, który pt. „Kacz- ki powracają wiosną” ukaże się nakładem Wyd. „Sport i Turystyka”.

JAKIE WĄTKI W „OSNOWIE”?

W nieokreślonych odstępach czasu, w najzupełniejszej zresztą zgodzie z regułą ukazywania się wydawnictwa nieperiodycznego, pojawiają się w sprzedaży kolejne numery „Osnowy”, której nazwa tak wyjątkowo szczęśliwie kojarzy się z charakterem włókienniczego miasta. Ostatni numer, datowany: „Zima 1969” przynosi publikację przeważnie łódzkich środowisk twórczych z dziedziny „literatury, nauki i sztuki” — we wzajemnych proporcjach odzwierciedlających w naturalny sposób czynny patronat naszego oddziału Związku Literatów Polskich.

Przyjmijmy założenie, że „Osnowa” nie ma służyć wyłącznie wymianie intelektualno-artystycznych wartości w środowisku ludzi czynnych twórczo na polu literatury, nauki i sztuki, pomimo że w dobie coraz większej specjalizacji byłaby to funkcja integrująca nie do pogardzenia. Ale przecież twórcy potrzebni są nie tylko do dialogu, ale i do wyrażenia siebie, do wyrażenia siebie — od studenta po wykształconego pracownika kultury.

Jakie więc wątki — mówiąc w włókienniczym — przeplatają naszą „Osnowę”? Przeglądając zawartość ostatniego numeru pisma.

Aby przyjąć jakąś zasadę porządkującą, zaczniemy od prozy. Coraz częściej ostatnio przypominają twórczość Tadeusza Micińskiego, łódzianina z pochodzenia, reprezentującego — opublikowane z rękopisu przez Edwarda Kozłowskiego — „Opętanie”, znanie dla poetyki „Młodej Polski”. Warto było zamieścić ten wielce początkujący drobny utwór prozatorski, którego pochwiliły erotyzm, graniczący z ekshibicjonizmem świadczą o tym do wody, że dla sfery doznań i pragnień erotycznych próżno szukać wzorów w literaturze tego okresu.

Jana Koprowskiego „Opowieści kawalerskie” — „Opowiadanie”, znanie dla poetyki „Młodej Polski”. Warto było zamieścić ten wielce początkujący drobny utwór prozatorski, którego pochwiliły erotyzm, graniczący z ekshibicjonizmem świadczą o tym do wody, że dla sfery doznań i pragnień erotycznych próżno szukać wzorów w literaturze tego okresu.

Poniżający wpływ uczucia strachu pokazuje w ciekawym „Wspomnieniu z Dachau” Włodzimierz Skoczylas. Świadectwem oryginalnego poetyckiego spojrzenia są „Kartki z podróży do krainy majaczek” Zygmunta Fijasa. Zapewne fragment większej całości prezentuje Ryszard Doroba w „Niedzielnym wieczorze”, który w tej ulamkowej postaci nie potrafił wznieść większego zalekawienia.

Dobór utworów poetyckich należy uznać za interesujący. Jest duża różnorodność środków wyrazu, są poeci kilku pokoleń. Zamieszczono utwory Jana Spiewaka, Lutosławy Dąbrowskiej, Jerzego Jarmołowskiego, Anny Kamińskiej, Anny Pogonowskiej, Sławomira Cieślakowskiego, Feliksa Rajczaka, Ewy Lipskiej i Owana Tumaniana w tłumaczeniu Igora Sikiryczkiego.

Wydało się, że trzeba jednak zwrócić uwagę na niedostatek poetyki reprezentującej nurt „liryczny obywatelski”. Tylko dwa wiersze Lutosławy Dąbrowskiej: „ONZ” i „Kogzystencja”, chociaż godne szczególnej uwagi, jeszcze jednak winny nie czynią.

Warta gruntownego przemyślenia jest znakomita rozprawa Ryszarda Matuszewskego „O nurcie obywatelskim w poezji polskiej”. Matuszewski uprzedza nas, że „nieustający dialog wewnętrzny na temat stosunku do zadań obywatelskich stanowi najbardziej integralną część naszej tradycji poetyckiej”. Tymczasem w ostatnich latach obserwujemy „niepokojący odwrót naszej liryki od jej tradycji...”. Bardzo trafnie wydaje się dostrzeżenie przez autora związku tego zjawiska „z ogólnym rozluźnieniem rygorów intelektualnych w poezji ostatnich lat”.

O wpływie pobytu w Paryżu na twórczość Stanisława Wyspiańskiego dowiadujemy się z interesującym, świetnie napisanym fragmencie książki Wojciecha Nałanona. Marian Plechał, w artykule „Rzecz żołnierska w literaturze polskiej” dopatruje się odrębności narodowej naszej literatury w specyfice tematycznej, jaką narzucała literatura konieczność obrony wolności, zwraca przy tym uwagę na motyw międzyrodzajowej solidarności w polskich utworach patriotycznych.

Zagadnienia estetyczne sztuk plastycznych rozpatrują dwie prace: Henryka Andersa „Sztuka w cieniu relatywizmu” i Andrzeja Turowskiego „Mechanizm nowej sztuki abstrakcyjnej”. Za jedną z przyczyn niepokoju współczesnych twórców uważa Anders szybkość przemian naukowo-technicznych i trudności adaptacji artysty. A. Turowski, rozpatrując głównie sztukę „op-artu” dochodzi do wniosku, że „kryzys sztuki abstrakcyjnej zarysował się przede wszystkim w odbiorze jej dzieł”, a to dlatego m. in. że „widz, postawiony wobec możliwości dowolnego ich interpretowania, przestał wierzyć w szerszą rolę mówiącego ogółu”. Obce prace warto są uważać lektury. O znaczeniu twórczości Władysława Strzemińskiego dla rozwoju współczesnej sztuki pisze Antoni Szram w art. „Rzecz o nowej estetyce”.

Niewiele materiałów da się odnaleźć pod hasłem wywoławczym „Nauka”. O dwóch pięćdziesięcioleciach, ważnych dla zrozumienia ro-

zwoju naszej teraźniejszości — odyskania niepodległego bytu i powstania KPP — przypomina Władysław Borowski. Edward Rosset przedstawia znaczenie prognoz dla planowej gospodarki, a Mieczysław Woźniakowski, pisząc o „Kryzysie polonistyki szkolnej” wysuwa tezę, że „na lekcjach języka polskiego powinna się dokonywać humanistyczna synteza wiedzy o świecie”. Konieczne jest jednak, „by w innym trybie kształcić kadry naukowe, a w innym nauczycieli”.

Przyjmując, że te trzy artykuły reprezentują w numerze dział „Nauki” trzeba się jednak upomnieć o zagadnienia współczesnej fizyki czy biologii, ale podane w formie esaju. Oczywiście, niełatwo to sprawić, może nie tyle z braku pisarskich talentów wśród naukowców, ile z winy obaw pokutujących w tym środowisku przed „znicieniem się” do literackiej formy, rękoma osłabiającą powagę wypowiedzi.

W „Kronice”, którą otwiera im presyjne, ale o znacznej wartości poznawczej przypomnienie postaci i twórczości Konstantego Paustowskiego, jest dalej jeszcze o wszystkim po trochu, głównie o plastyce. Ale o muzyce, która w życiu kulturalnym Łodzi spełnia nie ma ani słowa.

Wydało się, że niedostatek występujący w tym i poprzednich numerach „Osnowy” mają ważną przyczynę w nieregularności ukazania się czasopisma. Jak się słyszy, wielu ludzi płora nie spleśzy, że świętym rękopisem do redakcji, przedkładając pewność druku w szybszym, a w każdym razie znanym terminie na innych, pozostających łamach. Powstaje więc jakby błędne koło, co nie usprawiedliwia jednak zamieszczania prac przydatkowych. A pozyskanie sobie autorów ze środowiska naukowego, to odrębna sprawa, wymagająca za pewne wytrwałych zabiegów. Ale właśnie, takie inspirowanie pozostałych środowisk twórczych w celu stworzenia wokół „Osnowy” żywego ruchu umysłowego, odpowiada znanym przecież ambicjom łódzkich pisarzy.

GIEDIONA spór o architekturę

„Czas, przestrzeń, architektura” książka S. Giediona napisana przed II wojną, wydana w 1941, polskiemu czytelnikowi udestępiono na jest dopiero w 1968 r. Wiele z problemów podejmowanych przez Giediona straciło na aktualności albo przedstawia się nieco inaczej w świetle najnowszych badań. Nie mniej podstawowe poglądy na rolę architektury w świecie sztuki, techniki i nauki nie uległy, jak do tego dezaktualizacji, może dlatego, że Giedion jest bardziej historykiem niż historykiem architektury i stąd umiejętność perspektywicznego spojrzenia na omawiane zagadnienia. Ciekawa to i pouczająca książeczka. Giedion pisał ją od roku 1938 w Stanach Zjednoczonych, gdzie przebywał jako wykładowca na Uniwersytecie Harvard. Charakterystyka jej tymi słowami: „Praca moja ma za zadanie uświadomić tragiczną przepaść pomiędzy jednostkami pracującymi w sztuce a publicznością, przepaść, która rozwarła się w ubiegłym i bieżącym stuleciu, a która istnieje po dzień dzisiejszy. Przepaść ta obecnie maleje, ale odpowiedzialność za to, że mogła ona osiągnąć tak niebywałe rozmiary, ponoszą krytycy, którzy utwierdzili publiczność w jej błędnych zapatrywaniach... W dziedzinie architektury zarówno jak i w dziedzinie sztuki niejedno się zmieniło w ostatnich dziesięcioleciach lat. Siły twórcze w sztuce zdobyły sobie większe wpływy, a wygląd nowych dzieł architektury i urbanistyki do dziś zyskał w porównaniu z twórcami ubiegłego stulecia”. Dokonując wnikliwej analizy i szczegółowego omówienia rozkładu kontaktów twórcy z społeczeństwem, upadek myśli estetycznej oraz rozwój i rodzaj sposobów upowszechniania dzieł sztuki zwłaszcza na przełomie XIX i XX w. Giedion zwraca uwagę na fakt,

że tradycja była zawsze wykorzystywana przez przedstawicieli aktu alnego smaku czy istniejącej mody z całą bezwzględnością. I tym właśnie faktem tłumaczy przede wszystkim stan prostracji w jakim znalazła się pod koniec XIX w. architektura i inne gatunki sztuki. Ale „...w sztuce tak samo jak w życiu człowieka są chwile przełomowe, w których wskazane jest zamknięcie się w odosobnieniu aby lepiej sobie uzmysłowie własne myśli i uczucia”. Tak stało się ze sztuką, w tym i z architekturą, około r. 1910. Architekci w konstrukcjach mostów, wieży Eiffila i hal targowych, w budowlach przemysłowych, odnaleźli wskazówki dla stworzenia własnego języka, obrazu własnej epoki. W malarstwie i rzeźbie znaleźliśmy analogiczne przykłady. Ustosunkowując się do tak istotnego dziś pytania czy nauka i sztuka są rozdzielne, Giedion wskazuje na współczesności na wyraźne tendencje powrotu do naturalnego jednoczenia myśli i uczucia. Potrzeba epoki jest ustalenie płaszczyzny porozumienia między poszczególnymi dziedzinami życia, także między nauką a sztuką. Kultura obecna przypomina orkiestrę, w której muzyki są oddzieleni od siebie dźwiękami kosmicznymi ścianami. Trudno przez widzieć co stanie się, gdy ściany te zostaną usunięte. Zajmując się architekturą Giedion traktuje ją jako zwierciadło epoki, jest ona bowiem sztuką związaną najpełniej ze wszystkimi charakterystycznymi jej cechami: z socjologią, ekonomią, techniką, etnologią itd. „Architektura może być powołana do życia przez przeróżne czynniki zewnętrzne, raz jednak powstawszy, stanowi ona organizm sam w sobie, o własnych cechach, o własnym trwałym istnieniu. Jej walory nie mogą być oceniane na podstawie ekonomicznych czy socjologicznych kryteriów, którymi tłumaczy się jej powstanie, natomiast mogą oddziaływać na przemianę lub całkowitą zniknięcie czynników, które warunkowały jej powstanie. Architektura może wykroczyć poza klasę, która ją do istnienia powołała, poza styl, do którego należy...”. Dlatego Giedion sprzeciwiając się pojęciu stylów uważa za słuszniejsze śledzenie założeń, tradycji, jako zespołu faktów nieprzemijających. Zresztą rozpatrując architekturę niekiedy i w odwołaniu, jako zespół zjawisk połączonych „...matematycznie czy fizycznie, które pozostają oderwanymi dziedzicami mimo różnych renesansów i baroków”. Takie traktowanie architektury jako organizmu rozwijającego się niezależnie, jest szczerze gołym zdaniem odegrał szczególną rolę w określaniu przestrzeni i zrozumieniu konstrukcji architektonicznej. Powyższe uwagi nie wyczerpują problematyki dzieła Giediona. Zastępuję one na uwagę z racji miejsca, jakie zajmuje w bibliografii tematu, szerokości spojrzenia na architekturę i jej drogi, na sztukę w ogóle, wreszcie z racji samodzielności i oryginalności tegoż spojrzenia. Całość uzupełniona jest bogatym materiałem ikonograficznym.

S. GIEDION, „Czas, przestrzeń, architektura, 1968 r., PWN.



PAMIĘTNIKI PANI
DE LA FAYETTE

„Dzieje Henriety Angielskiej” i „Relacja z dworu francuskiego z lat 1688 i 1689” pani de La Fayette to znako mita lektura przede wszystkim dla tych czytelników, którzy francuski wiek siedemnasty i dwór Ludwika XIV znają z awanturkicznych powieści Aleksandra Dumasa. Autorka tych dwu utworów o charakterze pamiętnikarskim i historigraficznym znana jest głównie dzięki jej najlepszej powieści psychologicznej „Księżna de Cleves”. Ale i jej spuścizna pamiętnikarska zasługuje na bliższe poznanie i to nie tyle koło, że intrygi i wydarzenia z francuskiego dworu są pasjonującą lekturą również dla współczesnego czytelnika, ale i dlatego, że pozna jemy bliski świat umysłowości i temperamentu pisarki autorki „Dzieje Henriety Angielskiej” to pamiętnik miłosnych intryg dworskich, których głównymi bohaterami są Henrieta — Księżna Orléańska i hrabia de Guiche. Mówi się tu i o innych, co znaczących szych dworakach, a także o królu i jego miłośkach. Całość aż roi się od skandali i skandalików z wcześniejszego okresu panowania Ludwika XIV. W tej części wspomnień pani de La Fayette, to bywalczyni dworu i Pałacu Rojal i powiernica księżnej Henriety, rozmawiała w intrygującej atmosferze dworu. W drugiej części wspomnień — „Relacji z dworu francuskiego z lat 1688 i 1689” autorka występuje już jako obojętna z wielką polityką dyplomatką (istotnie była agentką i poufną korespondentką dworu sabaudzkiego ukazując przed czytelnikami panoramę stosunków międzynarodowych, przegrywanych i dzielących wojen nych, ocenając ludzi i sytuacje polityczne. W obu częściach na uwagę zasługuje lo gicznie i przejrzyście prowadzona narracja. Komentarz i ocenę pani de La Fayette wprowadza tylko w wypadkach koniecznych, pamiętając aby nie osłabiły wymowy samych faktów.

B. M.

Marie-Madeleine de La Fayette — „Dzieje Henriety Angielskiej” i „Relacja z dworu francuskiego z lat 1688 i 1689”. Czytelnik, W-wa 1968, str. 214, cena zł 10.—

spektakle tygodnia

				Spektakle widzów proc.
WIELKI				
	„Zemsta nietoperza”,	1	1010	80
	„Romans gdański”,	1	1260	100
	„Książę Igor”,	1	1260	100
	„Pan Twardowski”,	1	1260	100
	„Tosca”,	1	1260	100
	„Cyrułik sewilski”,	1	1260	100
NOWY				
	„Dziś do ciebie przyjdę nie mogę”,	6	4200	100
	„Zeglarz”,	3	2100	100
	„Rekwizor”,	1	500	75
	„Śluby panieńskie”,	1	500	75
NOWY				
	„Szkola Kobiet”,	2	400	100
	„Księżę świeci nieszczęśliwym”,	1	200	100
	„Bliki nieznanajony”,	3	450	75
POWSZECHNY				
	„Kawior i kaszanka”,	1	600	90
	„Płaszcz”,	3	1800	90
	„Czarna komedia”,	1	600	100
JARACZA				
	„Wesele”,	3	1674	88
7.15				
	„Znamy cię tylko z widzenia”,	4	1600	95
OPERETKA				
	„Turniej w Rio de Maracasso”,	6	5769	88

Zamieszczony poniżej artykuł, który ukazał się w amerykańskim piśmie „Atlantic”, w Bostonie, wywołał sensację w Stanach Zjednoczonych. Autor artykułu, Nicholas Johnson, był członkiem Federalnej Komisji do spraw Łączności, obala w nim mit o „wolności prasy” w USA, o której tak głośno mówią piśmiennicy amerykańskiej demokracji.

Do momentu, kiedy zacząłem pracować w Federalnej Komisji do spraw Łączności (FCS), koncentracja radiofonii i prasy w Stanach Zjednoczonych w rękach garstki ludzi niepokoiła mnie nie więcej, niż każdego innego wykształconego Amerykanina. Jakość większości programów telewizyjnych trzystu stacji TV wydawała mi się zaledwie mierna.

Propagandę i „kontrolę myśli” przyjmowałem, jako coś zupełnie naturalnego. Utyksywałem na tendencyjność informacji tygodnika „Time”, wiedziałem, że prasowy baron Herst przyłożył rękę do wojny hiszpańsko-amerykańskiej, zrobił na mnie głębokie wrażenie niepokój prezydenta Eisenhowera z powodu „wojenno-przemysłowej

go kompleksu” Stanów Zjednoczonych. Zmiana właścicieli solidnych wydawnictw i zniknięcie z rynku niektórych czołowych gazet pozostawiło we mnie nieprzyjemny osad. Jednakże nie zadam sobie trudu, żeby rozmyślać nad znaczeniem podobnych zjawisk. Ale oto w lipcu 1966 roku zostałem członkiem FCS. Od tej chwili mój dotychczasowy stosunek do „rynku idei” przestał być dla mnie sprawą li tylko osobistą.

ZŁOWIESZCZY ZAMIAŁ

Na posiedzeniach FCS zetknąłem się z projektem połączenia kompanii: „International Telephone and Telegraph” (ITT) z „American Broadcasting Company” (ABC). Sprawa ITT — ABC pozwoliła mi, po raz pierwszy w życiu, poznać złowieszcze znaczenie, ukształtowanej w Ameryce, struktury prywatnej własności środków masowej informacji.

ITT — to rozgałęziony, międzynarodowy konglomerat, ciągnący około 60 procent dochodów z ogromnych inwestycji przynajmniej w

40 krajach. Pod względem liczby zatrudnionych robotników i urzędników, kompania ITT zajmuje dziewiąte miejsce wśród największych przemysłowych kompanii świata. Eksportuje sprzęt elektroniczny i kieruje eksploatacją systemów telefonicznych w wielu krajach świata. Połowa dochodów ITT w kraju pochodzi z kontraktów, zawieranych z rządem USA na produkcję obronną i kosmiczną. Oprócz tego, prowadzi interesy z towarzystwami ubezpieczeń na życie oraz finansuje inwestycje w firmach, udzielających małych kredytów, trudni się wynajmowaniem samochodów oraz wydawnictwem książek.

Do ABC, w roku 1966, należało 399 kin w 34 stanach, 5 stacji telewizyjnych, 6 radiostacji, emitujących na falach średnich i 6 — na ultrakrótkich oraz jedna z trzech głównych sieci telewizji USA i jedna z czterech największych radio stacji w świecie. Programy jej 137 perferencyjnych stacji TV odbierało 50 milionów amerykańskich domów, w których w tym czasie były telewizory, a jej programy

radiowe przyjmowało blisko 55 milionów radiolodbiorników. ABC inwestowała kapitały w telewizję 25 państw, zjednoczonych w tzw. „grupę światowej telewizji”. To wszystko, plus ABC — Films, które jest chyba najpotężniejszym w świecie przedsiębiorstwem rozpowszechniania filmów, ustala repertuarów kinowych i telewizyjnych zarówno w USA, jak i w różnych innych krajach. ABC produkuje również i rozpowszechnia płyty gramofonowe, a jej filie wydają trzy pisma przeznaczane dla farmerów.

Połączenie ITT i ABC dałoby środki masowej informacji, i zarazem największego ich dostawcę, kształtującego opinię publiczną w Ameryce, pod kontrolą jednego z najpotężniejszych monopolów w świecie. Czy byłoby w tym coś złego? Potencjalnie — tak. Choćby, na przykład to, że charakter informacji ABC musiałby ulec zmianie pod naciskiem ekonomicznych interesów ITT, że programy radiowe i telewizyjne ABC stałyby się częścią składową złożonych interesów ITT w sferze stosunków społecznych, reklama-

my, czy polityki. Już wówczas, w roku 1966, widzieliśmy w tym groźne niebezpieczeństwo, nie dając wiary solennym zapewnieniom kierownictwa obu kompanii, iż każde nadużycie w tej materii jest wykluczone. W roku 1967 ta potencjalna groźba stała się realną.

Na posiedzeniach komisji FCS, udowodniono ustawiczne mieszanie się ITT do politycznych i ekonomicznych spraw innych krajów, wynikające z szeroko rozgałęzionych interesów handlowych z zagranicą. Śledztwo wykazało systematyczne powtarzające się ingerencje ITT w wewnętrzne sprawy szeregu czołowych państw świata w takich dziedzinach jak problemy obrachunku stawek i podatków, problemy nacjonalizacji i odszkodowań za nacjonalizację, nie mówiąc już o zwykłym biznesie. Dalsze dochodzenia na forum Federalnej Komisji do Spraw Łączności — FCS — ujawniły również, iż w skład administratorów i dyrektorów filii ITT wchodzi dwaj członkowie brytyjskiej Izby Lordów, członek Francuskiego Zgromadzenia Narodowego, były premier

Dlaczego

ITT

rwie się
do eteru?

Łowickie podróże sentymentalne

Łowicz był celem mojej pierwszej podróży i zawsze tu chętnie wracam, choć idąc ulicami Podrzeczna, Łódzka, Stanisławskiego — coraz mniej spotykam twarze znajomych, ta pierwsza moja podróż oddala się ode mnie coraz bardziej, nakładają się na nią inne późniejsze podróże... Wracam tu często w złudnej nadziei na garść sentymentalnych wzruszeń, lecz przybywa lat i rozczarowań a wzruszeń coraz mniej, coraz bardziej rozsypują się w palcach jak stózek popiołu z papierosa...

Kiedy przyjechałem tu, aby zamieszkać w poklasztornej gmachu — a było to szesnaście lat temu — przed odrapanym dworcem stały dorożki, była jesień i nikt nie mógł przewidzieć jakie wzruszenia i kłaski przyjdzie mi przeżyć w tym mieście. Dziwnym miastem, dumnym i świadomym swej chwały, której żadną miarą nie mogłem pojąć. A nieżyjący już profesor Żyto mawiał z godnością: „Kiedy rajcowie miejscy Warszawy przybyli do Łowicza, nasi rajcowie złożyli na ich ręce życzenia, aby kiedyś Warszawa stała się tak wielką jak Łowicz”. Za tą anegdotką kryło się dużo więcej niż wówczas mogłem pojąć.

A nie mogłem pojąć wielu spraw z kręgu Łowicz—Warszawa. Na szyldzie muzeum napis: „filia Muzeum Narodowego w Warszawie”, wszyscy moi koledzy planowali studia w Warszawie, do Warszawy jeżdżono się po zakupy i do teatru... Warszawa była dla nich — o dziwo — po prostu najbliższym miastem, jak dla mnie Łódź. Dziwnie to wszystko było i niezrozumiałe. I nieelocne bo droga do Łodzi taka sama — żelazna i niedaleka.

Ale zapomniałem o historii. Tej historii pisanej z dużej litery, którą w Łowiczu tak się admiruje. A przecież te ziemie przez lata związane były administracyjnie z Warszawą a połączenie kolejowe w 1845 roku jeszcze bardziej przywiązało Łowicz do stolicy. A przecież należały te ziemie do Księstwa Warszawskiego i zawsze były „war-

szawskie” choć je potem lekka, arystokratyczna rączka Joanny Grudzińskiej — wielkiej księżnej łowickiej, przekazano carowi Mikołajowi...

Historia! Jakże jej nie admirować w takim mieście! Jakże zapomnieć o niej patrząc na kamieniczy rynek... „Okolo wpół do czwartej po południu dnia 18 grudnia 1806 roku Najjaśniejszy Cesarz Francuzów Napoleon Wielki przyjechał na ten rynek w małym polskim koczku. Cesarz stanął w domu p. Kościelnicza pod numerem trzecim, zjadł obiad w towarzystwie generała Berthier, po czym kazał przywołać gospodarza i uczynił mu pytania względem ceny w tym mieście rozmaitych towarów. Dom Kościelnicza zamienił się na parę godzin w kwaterę główną, zaroiło się od oficerów sztabowych i ordynansów. Cesarz czytał depeze i pisał rozkazy do godziny siódmej. Na okrzyki i wiaty na jego cześć nie reagował. O siódmej wyruszył do Błonia — do Warszawy przybył nocą”.

I tyle go łowiczanie widzieli. Nie poznał tu pięknej Marii Walewskiej — stało się to potem w Warszawie. Dumny imperator miał tu jeszcze wrócić, ale w jakiej innej scenarii. Cztery lata później również w grudniu przemknął przez Łowicz sanie uwożące człowieka, który ukryty w ciężkim futrze i pod nazwiskiem niejakiego Caulaincourta uciekał przed swoją klęską.

A słynne jarmarki łowickie? Zaraz na lewo na rynku wśród wysokich drzew ulica Koński Targ. Pan Chryzostom Pasek przyjeżdżał tu nieraz. Przybywały trupy teatralne aż z Krakowa, przybywał ze swym bogatym straganem mistrz Orgelbrand — drukarz i wydawca znakomity, bywał tu także sam Józef Ignacy Kraszewski, aby świętości i zamożności łowickich jarmarków naocznie doświadczyć...

Pan Ocykowski — łowicki księgarz, wlicza w swej książce te tysiące koni, wołów, owiec i wieprzy sprzedawanych tu w różnych latach. A książka ta dziś na poczesnym miejscu w bibliotece i pani Grażyna trzyma ją na podręcznej półce tuż obok „Przechadzki po Łowiczu” pana Blum-Kwiatkowskiego i innych księgarskich rarytasów...

Była świetność i rajcowie warszawscy byli bardzo malutcy przy rajcach łowickich. Był prymasowski zamek i kuźnie łowickich płatnerzy a holenderski podróżnik Cellariusz dowodził iż „Łowicz jest zbrojownią całej Polski”. Była szkoła pijarów i późniejsze jej wcielenie i były wychowankowie — Józef Chelmoński, Stanisław Noakowski, Stefan Starzyński. I była Szkoła Handlowa prowadzona przez matkę późniejszego prezydenta Warszawy.

Więc znów Warszawa. Ale problem przecież nie tylko w historii, związkach uczuciowych i sentymentach oraz w kolei warszawsko-łowickiej. Do Sochaczewa i Żyrardowa bliżej niż do Łodzi — bliżej do pracy i bliżej aby obserwować. A tam przemysł wybuchł potężny, inwestycja goni inwestycję — „żywiej — mówią łowiczanie — tętni puls współczesności”.

Nie chcą być skazani na pasiały i wycinanki, na skansen regionalny, na Złaków Borowy i Kościelny, na cepeliowską „Sztukę Łowicką”. Nie wyrzekają się swego — najpiękniejszego w Polsce — regionu, o nie! Ale też nie chcą w nim zgnuszyć. A jeżeli nie chcą w nim zgnuszyć, to przecież na powiatowej konferencji partyjnej padły tu słowa, że przemysł odgrywa w powiecie coraz ważniejszą rolę, że produkcja eksportowa przekroczyła już 100 mln zł — to były to słowa zadowolenia.

Bo przecież nie ludźmy się. Za przemysłem idzie nieodłącznie postęp komunalny, budownictwo mieszkaniowe, usługi, handel — stopa życiowa. Przemysł to ożywienie, szansa i rozwój. I choć może wzrosnąć wskaźnik zanieczyszczenia powietrza — klimat miasta poprawi się na pewno.

A cóż tu był za przemysł! Przed szesnastu laty — pamiętam — fabryka drutu i gwoździ — wstyd powiedzieć. Młyn i mleczarnia, wytwórnia pasz...

Kiedy wysiadłem z pociągu na stacji Łowicz-Przedmieście, aby przejść się znajomym szlakiem wiem już od dawna, że nie pójdę łakami aż do parkanu, za którym drzewa, pod którymi wkuwałem „Psychologię” Tępiowa w myśl zaleceń profesora Pakulskiego. Nie ma już tych łak — jest natomiast wielki korpus przetwórczy warzyw i owoców. Konserwowe ogórki i ostre sałatki — to one składają się na owe 100 mln złotych eksportowej produkcji.

Ale jeszcze wcześniej, za szeregiem sennych domków wyrósł kolos betonowy — słynny już dziś łowicki „Syntex”. Nowy element pejzażu, największa tego rodzaju powojenna inwestycja w Polsce. Trzy lata wynoszone ten gmach dla trzech tysięcy pracowników, ale już w tym roku rozpocznie się produkcja. Dwadzieścia cztery miliony północnych i skarpet rocznie!

Napisałem — pracowników. Raczej — pracownic, bowiem do nowoczesnych maszyn staną głównie kobiety. Młode i wysokie. Niejednemu łowiczanki myśli sobie pewnie: „nie słuchałam mamusi, nie chciałam jeść marchewki, no i teraz nie dostanę się do „Syntexu”. Ale cóż robić — wysoka technika ma także swe wymagania co do wzrostu.

I gdzie szukać pozostawionych tu wzruszeń i sentymentów sprzed lat, kiedy co krok wyrastał mi przed oczyma prefabrykowany, przemysłowa współczesność. Nie ma już mojej starej szkoły przy ulicy Podrzecznej, zrobiono tu internat, na pewno żeński, bo dziewczęta zatrudnienia w Łowiczu. A nowa szkoła przy ul. Brudki — owszem, wspinała, ale to już nie to... Nie skrzyknę nasyczone pyłochłonnym podłogi, za oknami nie polyskuje Bzura; kie-



Rys. Wiesław Karolak

dy podszedłem do okna w dań szarżał masyw „Syntexu”. Krajobraz miasta zyskuje nowe elementy, nowe wymiary, nowe wartości...

A kiedy przyjadę tu znów za parę miesięcy czy lat? Może na wąskiej uliczce Bieruta wejdę po papierosy do nowego domu handlowego, może będę już deptał po dziesiątkach milionów złotych zainwestowanych w łowickie wodociągi, ujęcie wodne, kanalizację, może będę miał nowe dziesiątki bloków na Łódzkiej i Tkaczewie?

I czy ten nowy Łowicz będzie także moim starym Łowiczem sprzed lat szesnastu? Będzie. Chociaż na ulicach coraz mniej znajomych twarzy, a ja sam jestem tu dziś nieznajomym, chociaż nie ma już łaki za parkiem, choć nie pójdę już w letni wieczór w ruiny prymasowskiego zamku w romansowych celach. Moje łowickie podróże stają się coraz mniej sentymentalne, ale dostarczają mi coraz więcej satysfakcji. Po prostu obywatelskiej satysfakcji.

Kiedy przyjeżdżam pociągiem na „Łowicz Główny” machinalnie skręcam w prawo i schodzę w dół z wy-

sokiej kładki. I naraz znajduję się w tym sennym Łowiczu sprzed lat, tylko dorożek nie ma, ale jest błoto i zapuszczony skwer przed dworcem... Ale to tylko moment, bo przecież wiem, że zamknięto budynek na czas modernizacji, że znów zakwitnie skwer, zjawia się taksówka a łowicki dworzec zbudowany 100 lat temu rozpocznie kolejarską służbę, w sztafetu sławniewickich marmurów.

Więc mogę spokojnie wracać do tego miasta z pelikanami w herbie, niesącego w sobie sześć stuleci historii i moją własną, osobistą historię sentymentalną. Mogę tu wracać, bo jeśli nawet nie znajdę już znajomych z tamtych lat, to za każdym razem odkrywam nowych znajomych — osiedle na Tkaczewie, nową szkołę, rosnące mury fabryk, nowy most, kawiarnię nad Bzurą... A kiedy z kolegiaty rozlegnie się dźwięk dzwonu — wydaje się, że słyszę profesora Kuczyńskiego, który stoi nad moim internatowym łóżkiem: „Wilmański — mówi — wstawaj, już dzwon kolegiaty słychać”. Ale to tylko wspomnienie. Dziś dzwon kolegiaty otrzymał do towarzystwa fabryczne syreny.

Belgii, kilku ministrów obcych państw i przedstawicieli różnych towarzystw państwowych.

W czerwcu 1967 roku członkowie komisji FCS: Bartley, Koch i ja nie zgodziliśmy się z aprobatą władz nadzórnych połączenia ITT z ABC, wychodząc z założenia, iż kompania, która w swej powszedniej działalności przywykła do żonglowania, na wysokim szczeblu, sprawami państw, zapewne nie oprze się pokaźnego żonglowania informacjami ABC.

CHCIWOŚĆ

Wkrótce nasze obawy potwierdziły się. W kwietniu 1967 roku, gdy nie rozstrzygnięto jeszcze sprawy o połączeniu ITT z ABC, gazeta „Wall Street Journal” podała, że ITT usilnie zabiega o przychylne naświetlenie w prasie przebiegu i wyników śledztwa. Trzej reporterzy, zaproszeni na posiedzenie FCS, oficjalnie potwierdzili fakty, podane w informacji „Wall Street Journal”. Korespondenci agencji „Associated Press” i „United Press

International” oświadczyli że telefonowali do nich przedstawiciele ITT, prosząc o inne, niż dotychczas, naświetlenie sprawy dochodzenia przeciwko ITT, oraz usilowali wyjaśnić stanowisko innych dziennikarzy. Jeszcze bardziej brutalny nacisk stawali się przedstawiciele ITT wywrzeć na dziennikarce z gazety „New York Times”. Przyszli do niej, do domu, wiceprezydent ITT. Długo krytykował stanowisko, które zajęła w sprawie ITT — ABC na łamach „New York Times”, tonem, który nazwała „ubliżającym i jawnie nieprzyzwoitym”.

Wreszcie, w styczniu 1968 roku, gdy apelacja Ministerstwa Sprawiedliwości w sprawie ITT czekała na rozpatrzenie w Sądzie Najwyższym USA, ITT odstąpiła od idei połączenia z ABC.

Zaczęło mnie interesować, w jakim stopniu podobne korporacje, powstałe z połączenia dwóch, lub więcej, kompanii, już wywierają na cisk na najważniejsze źródła masowej informacji w USA. Być może, maskują się one zresztą, niż w u-

jawnionej sprawie ITT — ABC.

W roku 1959, urzędnicy dyktatora Trujillo z Republiki Dominikańskiej, zapłacili 750 tysięcy dolarów Mitchell Radio Network za rozpowszechnianie w formie informacji radiowej życzliwej propagandy dla reżimu dominikańskiego. Nieco później wyszły na jaw jakieś ciemne interesy Radio Corporation of America i National Broadcasting Company. Informowano też, że należąca do kolei żelaznych gazeta odmawiała zamieszczenia informacji o katastrofach kolejowych, że chemiczny koncern, największy w świecie, niejednokrotnie kierował pracą redakcji własnych gazet w mieście Wilmington, mając na uwadze interesy koncernu, że Anaconda Copper, największy w USA producent miedzi wykorzystywał swe gazety do podtrzymywania politycznych kandydatów, odpowiadających określonym interesom tej kompanii.

Do kogo należą środki informacji w dzisiejszej Ameryce i jakie to kryje niebezpieczeństwa?

KONCENTRACJA MONOPOLI

Na 1500 miast, mających pisma codzienne, 96 procent gazet obsługuje interesy monopolu prasowych. FCS zabrania kumulowania w jednym ręku kontroli nad dwiema stacjami radiowymi, emitującymi na falach średnich, lub dwiema stacjami TV o tym samym zasięgu. Ale to tylko w teorii, bowiem często jedna i ta sama kompania rządzi dwiema stacjami radiowymi z tą tylko różnicą, że jedna emituje na falach średnich, a druga na ultrakrótkich, oraz stacjami TV, pracującymi w tym samym rejonie. Taka sytuacja jest raczej regułą niż wyjątkiem. Kongresmeni i miejscowi działacze polityczni coraz częściej uważają za swoich prawdziwych wyborców garstkę właścicieli środków informacji, a nie istotnych wyborców danego rejonu. Co więcej, wpływy wielu właścicieli środków masowego przekazu informacji, nie ograniczają się do jednego stanu. W Federalnej Komisji do spraw łączności rozpatrywano wypadek, kiedy to jeden właściciel skoncentrował w swym ręku ra-

dio i telewizję w Las Vegas i Reno (stan Nevada), cztery gazety w tymże stanie, siedem gazet w stanie Oklahoma, a także dwie stacje radiowe, TV i dwie gazety w stanie Arkansas. W innym wypadku, do jednej gazety należało 10 radiostacji w północnej Karolinie i sąsiedniej Wirginii.

SILA POLITYCZNA

Każda z trzech najpotężniejszych kompanii telewizyjnych: RCO, Metromedia i Westinhouse ma stacje TV w trzech największych miastach kraju: w Nowym Jorku, Los Angeles i Chicago, a prócz tego jeszcze po dwie stacje TV w innych miastach, leżących w najbardziej zaludnionych centrach USA.

Wymieniłem jedynie niektórych z dzisiejszych magnatów środków informacji w USA. Ich potęga przejawia się w wielu przeróżnych sferach życia Stanów Zjednoczonych. W podstawowych rejonach kraju zaledwie nie liczne stacje TV pozostają w rękach miejscowych właścicieli. Tak więc w rękach właścicieli wielu największych w USA stacji TV kon-

centruje się potężna siła polityczna.

Na początku 1968 roku, komisja FCS zetknęła się z poważnym problemem powstawania miejscowych konglomeratów władzy. Milioner Howard Huse kupił, poprzez swój koncern, jedną z trzech największych stacji TV w Las Vegas. Wkrótce potem kupił, również w Las Vegas, za 125 milionów dolarów, majątek nieruchomy, w tej liczbie kilka hoteli, kasyno gry i lotnisko, jako uzupełnienie kupionych uprzednio 27 tysięcy akrów ziemi. Miejscowe władze nader ochoczo zgodziły się sprzedać mu stację TV.

Każdy z takich wypadków kryje w sobie poważne niebezpieczeństwo, iż liczne i rozgałęzione interesy handlowe zaczną wywierać dominujący wpływ na charakter informacji. Byłoby naiwnością oczekiwać, iż w Stanach Zjednoczonych nastąpią jakiegoś radykalne zmiany w strukturze własnościowej środków masowego przekazu, żeby one były nie tylko jak pożądane. Wprost przeciwnie, zmiany idą w kierunku jeszcze większej koncentracji. (Tłum. WL St.)

PABIANICE wyprzedziły Łódź

Drugie co do wielkości miasto w Polsce dotychczas nie posiadało swego i pełnego opracowania monograficznego. Dzięki badaniom historyków i inicjatywie Wydawnictwa Łódzkiego ukazało się w ostatnich latach dużo prac o charakterze wycinkowym, ale ani przewodnik pt. „Łódź i okolice”, ani inne prace nie mogły pretendować do miana monografii, zaś władze miasta, chociaż miały do dyspozycji duży kolektyw historyków — specjalistów w zakresie badań regionalnych, uważając, że sprawa może czekać dalej, tak jak już czekała ponad dwadzieścia lat (mam na myśli czasokres od powstania Uniwersytetu w Łodzi). Tymczasem...

Dzięki inicjatywie miejskiej instancji partyjnej i Prezydium Rady Narodowej w Pabianicach, przy współpracy z Łódzkim Oddziałem Polskiego Towarzystwa Historycznego ukazał się obszerny, okazały wydany tom pt. „Dzieje Pabianic”. Problematyka największego miasta w naszym województwie zogniskowała wysiłki dużego kolektynu historyków, a po kilku latach czytelnik otrzymał historię miasta w jego rozwoju chronologicznym od osady wczesnonieolitycznej do współczesnego, znacznego ośrodka przemysłowego.

Aktywność społeczna, zainteresowania dziejami własnego miasta, sentyment przechodzący w lokalny patriotyzm mają w Pabianicach starą metrykę. Już na początku bieżącego stulecia M. Baruch wydał monografię miasta i okolic pt. „Pabianice, Rzgów i wieś okoliczne”. Praca ta omawia głównie okres feudalny, stanowi jednakże dowód zamilowania autora do miejsc rodzinnych. Uzupełnieniem tej książki jest zbiór przyczynków i materiałów do dziejów Pabianic wydany przez tegoż autora w 1939 roku.

Drugim historykiem Pabianic jest K. Staszewski. Spularyzował on przeszłość miasta, chociaż pod względem wykorzystania materiałów źródłowych nie dorównał swemu poprzednikowi. Ilustrowany przewodnik po Pabianicach, Łasku i powiecie Łaskim wydany w 1929 roku oraz „600-lecie miasta Pabianic” (1933) przyczyniły się do upowszechnienia przeszłości tego prowincjonalnego ośrodka o dużych ambicjach kulturalnych.

Jeśli chodzi o okres powojenny, to przeszłość regionalną kultuwały początkowo miejscowa gazeta codzienna przekształcona w 1948

roku na tygodnik „Głos Pabianic”, a później „Życie Pabianic”.

Obchody Tysiąclecia Państwa Polskiego znalazły szerokie odbicie na gruncie pabianickim. Miejska Rada Narodowa zwróciła się do pracowników Uniwersytetu Łódzkiego o zorganizowanie sesji naukowej. W marcu 1963 r. dwudniowe obrady wzbudziły olbrzymie zainteresowanie.

F. Hemer, przewodniczący MRN charakteryzuje je następująco: „Przez dwa dni od godzin rannych do wieczora około 400 miejsc w sali posiedzeń MRN było zapelnionych. Przez pewien czas dosłownie całe miasto żyło tym wydarzeniem. W tych warunkach zrodziła się myśl o opracowaniu monografii Pabianic — w pierwotnym zamierzeniu w oparciu o referaty wygłoszone na sesji”.

Przyjęcie zgłoszonego historykom łódzkim przez obywateli Pabianic zachęciło do pogłębienia badań przedstawionych w czasie sesji. Pod przewodnictwem prof. Missalowej — pabianiczki urodzenia, powstał szeroki kolektyw obejmujący pracowników katedr historii Polski UL, Państwowego Archiwum Wojewódzkiego i Muzeum Historii Ruchu Rewolucyjnego w Łodzi. Wynikiem tych wysiłków naukowych jest wydana obecnie monografia.

Stanowi ona pracę zespołu. Poszczególne badacze napisali rozdziały odpowiadające ich zainteresowaniom chronologicznym. Przedstawione teksty zostały poddane „obrobce” redakcyjnej, a wynikiem stała się zwarta konstrukcja historyczna. Zachowując wszystkie walory naukowe monografia napisana jest stylem prostym, pozbawionym zbędnych dłużyń, nie przeładowana faktami i nazwiskami. Na pewno spełni ona wieloraką rolę, gdyż daje rzetelną informację naukową w formie ciekawej i dostosowanej do szerokiego grona czytelników nie historyków.

Punktem wyjściowym monografii są warunki fizjograficzne, na których się kształtowało się osadnictwo. Ośrodek administracyjny dóbr kościelnych kapituły krakowskiej przekształcił się z wolna w ośrodek miejski, a od XIV wieku mamy już historię miasta, choć roczna data miejsciej lokacji Pabianic pozostaje do dziś sporna.

Aż do XVIII wieku włącznie Pabianice przewyższały pod względem ilości mieszkańców i budynków sąsiednią Łódź. Lecz rozwój kapitalizmu przyniósł nowy układ urban-

istyczny w rejonie rozwijającego się przemysłu. Pabianice nie mogły dotrzymać kroku Łodzi. Rozwinęły się w miasto przemysłowe, lecz nie stały się „kolosem fabrycznym”.

Ostatnim akordem aktywności są jeszcze rzemieślniczo-czeladnicze Pabianice w życiu kraju, był stosunkowo liczny udział mieszkańców miasta w walkach narodowo-wyzwoleńczych XIX wieku. Zagadnienia to zostało wyodrębnione w bardzo ciekawie zredagowanym rozdziale V, który opracowała doc. A. Barszczewska. Późniejsze losy miasta już kształtowały się pod znakiem rozwoju przemysłu wielokapitalistycznego oraz życia i walk proletariatu.

Pomimo jakościowo różnych zmian na przestrzeni wieków, autorzy wciąż mieli na względzie historię miasta i starali się przedstawić możliwie pełny kompleks zagadnień. Ten jednolity model został zachwiany tylko dla okresu 1865—1907.

Rozdziały VI i VII prezentują czytelnikowi raczej historię przemysłu i klasy robotniczej, aniżeli dzieje miasta i jego mieszkańców w rozwoju. Jednakże już czasy reakcji stolicy i wojny i lata następne zostały potraktowane ponownie jako historia miasta z całą złożonością i wielostronnością bogatej tematyki.

Ważne jest nieuchylenie się kolektywu autorskiego od doprowadzenia monografii do czasów współczesnych, a nawet podanie planowanych perspektyw rozwojowych miasta. Dla historyka jest to okres najtrudniejszy do odtworzenia, gdyż masa przekazów źródłowych biurokratyzmo-urzędniczej proweniencji, przeszły zbytnim optymizmem, zręcznie tuszując tak charakterystyczne dla naszych czasów przełamywanie trudności.

Całość zamknięta w 72 rozdziałach daje ciekawy, udokumentowany i stosunkowo dokładny obraz miasta i jego ludzi na przestrzeni przeszło 600 lat.

Książka jest wydana bardzo starannie. Liczne ilustracje ożywiają treść, lecz zarazem nasuwają pewne uwagi. Skoro przedstawiono za kłady zniszczone przez hitlerowców w styczniu 1945 r. to byłoby ciele pokazywanie tychże zakładów po odbudowie. Również zaprezentowano zbyt mało zdjęć z okresu międzywojennego, natomiast „galerie” działaczy zawieszono prawie wyłącznie nie do lat okupacji.

Współczesny plan miasta oraz szkice obrazujące rozwój przestrzeni w Pabianicach od czasów „starożytności” poprzez wiek XIX do 1965 roku zamyka nader interesującą całość.

„Dzieje Pabianic, pod redakcją Grzegorz Misalowej, Wydawnictwo Łódzkie, 1969, ss. 428 + wkładki ilustracyjne, + 2 szkice, cena 90 zł.

Opracował zespół w składzie: A. Barszczewska, T. Czapliński, J. Fiłajek, W. L. Karwacki, J. Koliński, M. Kolodziejczak, G. Misalowa, R. Rosin, B. Wachowska, S. Zajączkowski, A. Zebrowska.

Chata rozśpiewana

Już po raz trzeci Irena Dziedzic, łamiąc utartą formę „Tele-echa”, wystąpiła z programem o znacznie większych ambicjach. Przypomnę dwie poprzednie próby: „W kietlingowym dworcu” i „Pan Rzecki wspomina”. W obu wypadkach program związany był z adaptacjami ekranowymi arcydzieł naszej literatury — „Pana Wołodyjowskiego” i „Lalki”.

Adaptacje stworzyły autorki i prezydent programu pretekst do wprowadzenia przed kamerę aktorów grających w adaptacjach filmowych wiodące role. Dla większego autentyzmu i widowiskowości aktorzy występowali w filmowych kostiumach i w charakterystycznej obecności wśród nich Ireny Dziedzic i aranżowanie przez nią rozmów pozwalało dokonywać efektownych wolt. Aktor raz przemawiał językiem postaci, którą przedstawiał, to znów „wskakiwał” we własną skórę i jako wykonawca mówił o swoim stosunku do roli.

Przypomnę jeszcze PT Czytelnikom, że w obu wypadkach T-O życzliwie kwitował te próby stworzenia nowej formy widowiska TV. Uważam bowiem, że odrębność telewizyjna polega między innymi na tym, że widz ogląda chętnie na małym ekranie nie tylko przekaz gotowej produkcji artystycznej, ale i sam proces rodzenia się kreacji. Czujemy się wtedy jakby dopuszczeni do uczestnictwa w tajnej rozmowie, która dopiero w ostatecznym efekcie doprowadzić ma do powstania dzieła artystycznego. Takie „wta jemniczenie” nam pochwlebia.

Zachęcona powołaniem obu wymienionych programów I. Dziedzic wystąpiła z nową próbą tego rodzaju, powiedzmy: jeszcze śmielszą. Program rozdzielił się chyba z trudem, w pierwszym terminie nie został nadany (przy czym telewizja wytwornie nie wyjaśniła nawet przyczyn). Wreszcie w dniu 20 kwietnia poszła na antenę „Ta chata rozśpiewana”.

Program był z pewnością na czasie i interesujący. Do dworca Włodzimierza Tetmajera (w ongiś podkrakowskich, a dziś krakowskich) Bronowicach zaprosiła autorka aktorów grających czołowe role w różnych sztukach Stanisława Wyspiańskiego. Jak wiadomo obchodzimy obecnie Rok Wyspiańskiego, było więc w czym wybierać: obok „Wesela” — „Wyzwolenie”, „Warszawianka”, „Kroniki królewskie”, „Cyd” (który grany jest w Polsce z reguły w przekładzie i adaptacji Wyspiańskiego), nawet fragmenty słynnego „Studium o Hamlecie” wygłosił Leszek Herdegen w kostiumie królewicza duńskiego.

Aktorzy wypowiadali monologu względnie dialogi ze sztuk, czasem zmieniali się błyskawicznie w inne postaci, jak np. Je-

rzy Turek — Chochół — w Jaśka i w Stańczyka. W ten sposób manifestowali jak bliski i znany każdemu aktorowi polskiemu jest tekst Wyspiańskiego.

Do tej, nazwijmy, spektaklowej warstwy programu nie mam zastrzeżeń. Otrzymał się zmienny i różnorodny kalejdoskop, którego każde szkice blizko czuły inną barwą. Co więcej, nie wyobrażam sobie takiego skróconego przeglądu przedstawień na scenie, na estradzie, czy w kinie. Zaraz wyszłyby na jaw szwy i całość nie złożyłaby się.

W telewizji inaczej. Mały ekran znakomicie syntetyzuje małe fragmenty i spaja je w jedną żywą całość. Ta skrócona i integrująca rola spektaklu TV była i w tym wypadku najcenniejszą stroną programu „Ta chata rozśpiewana”.

Ale na tym kończą się pochwały. Ambitny zamysł przerósł zbyt wyraźnie prezydentkę. Włączenie się w sceny aktorów I. Dziedzic, próba komentowania przez nią twórczości Wyspiańskiego wypadła, niestety, nie na miarę zagadnienia. To nie znaczy, że o Wyspiańskim można mówić tylko w sposób celebrujący, ale lekkie „salonowy” sposób prowadzenia programu „a la Dziedzic” tym razem okazał się absolutnie niewłaściwy.

Przypomina się stara anegdota z Cyganem, który gotował zupę z gwoździ. Gdy zupę już ugotował, dodając do niej mięsa, warzyw itp., wystarczyło tylko wyjąć gwoździ i zjeść smaczny posiłek.

Przykro to stwierdzić, ale w omawianym programie rola I. Dziedzic jako uczestniczki wydaje się zbędna. Świetnie zorganizowała widowisko. Powinna była puścić całość w ruch i wycofać się. Społistość matozu tylko by na tym zyskała, zaś tekst Wyspiańskiego sam dostarczyłby dużo dowcipnych możliwości pasażu od jednej sceny do drugiej.

Tu dochodzimy do dość drażliwego problemu. I. Dziedzic, dysponująca wielkim doświadczeniem telewizyjnym i inwencją, należy do tych organizatorów programu, którzy wszelkie widowiska ekranowe zwykli budować wokół własnej osoby. Gdyby tym razem odeszła od swego zwyczaju, zajmując pozycję dyskretniejszą — niewidzialnego dyrygenta poza kadrem — dla jej roboty telewizyjnej mielibyśmy w zanadrzu tylko pochwały. A tak...

Władysław Bortnowski

O FILMACH DOBRZE I ŹLE



W ostatnich latach byliśmy świadkami przechodzenia wielu wybitnych polskich dokumentalistów w nowe rejony artystycznych penetracji. W filmie fabularnym debiutowali: J. Hoffman później J. Ziarnik i J. Łomnicki. W żadnym z tych debiutów nie można było jednak odnaleźć jakichś głębszych związków z dotychczasowym doświadczeniem ani istotniejszych śladów dokumentalnej dotychczasowej i intrygującej i zindywidualizowanej działalności artystycznej. Dopiero „RUCHOME PIASKI” — debiut fabularny Władysława Slesickiego wyraża bezpośrednio z kręgu dotychczasowych zainteresowań, wrażliwości i sprężyn tego w dokumencie widzenia świata.

Autor tak znakomitych, nagradzanych w kraju i za granicą dokumentów jak: „Płyną trawy”, „Zanim opadną liście”, „Rodzina człowieka”, „Energi” i wielu innych, zrealizował film,

w którym jeszcze raz doszło do głosu jego bardzo indywidualne i konsekwentne widzenie świata. Jednym z podstawowych motywów dotychczasowej twórczości Slesickiego jest sposób patrzenia na przyrodę i jej funkcję w życiu człowieka. Przyroda w filmach Slesickiego jest zawsze ich samodzielnym bohaterem, a jednocześnie partnerem człowieka w jego dobrym i złym losie, jest czynnikiem często ten los, a także postawę człowieka kształtującym. Ten motyw powtórzył Slesicki konsekwentnie w swym pierwszym filmie fabularnym, w „Ruchomych piaskach”.

Przyroda i wtopieni w nią ludzie to bohaterowie tej wakacyjnej opowieści. Opowieść to delikatna, ujmująca, prowadzona na wyciszonym tonie. Czuję się w filmie ręką rasowego dokumentalisty, który potrafi obserwować równie wnikliwie co dyskretnie.

niebieskie ptaki wypełniają świat tego filmu. Opowieść Joy o jej własnym życiu przeraża swą beznamiętną szczerścią. Dla niej nie ma innego świata, jej moralność jest przez ten świat ukształtowana.

W Joy jest więcej dobra niż zła, choć złem jest wszystko czym żyje. Wobec Joy nie można jednakże stosować tych kategorii etycznych, które zwykliśmy brać pod uwagę, gdy o międzyludzkich stosunkach mówimy. Joy tych kategorii nie zna i już znać nie będzie, żyje w świecie, który dał

jej szansę życia, nie dając jednak racji i sensu. Joy żyje w świecie, w którym jedyną racją jest instynkt, jest w nim zatem miejsce na macierzyństwo, nawet na namiastki miłości, ale rzeczą decydującą w tym życiu jest walka o byt. Joy jest w tym filmie przedmiotem obserwacji lecz nie oskarżenia. Ono skierowane jest gdzie indziej. Joy znalazła w filmie znakomitą prezydentkę w osobie nieznanego nam aktorki Carol White, nagrodzonej za tę rolę na ubiegłorocznym festiwalu w Karłowach Varach.

Możemy zarzucić reżyserowi, że nie zupełnie poradził sobie z organizacją fabularnego materiału, że dramatyzm akcenty rozrzuca trochę niedbale, że nie zawsze potrafił godzić swe znakomite dokumentalne doświadczenie z potrzebami konstrukcji filmu fabularnego, jednakże w ostatecznym rozrachunku inne uroki kupują nas dla siebie. Jednym z tych uroków jest to, że pokazany obraz świata jest obrazem widzianym oczyma dziecka, temu zawiązanemu w filmie tyle niespodzianek. Świat przyrody i ludzi jawia się nam nieoczekiwanie, przemawia obrazem rysowanym bardzo wyraźnie bądź rozpylającym się w nieostrych konturach. Chłopiec lepiej rozumie i czuje świat przyrody, mniej świat ludzi, ale obserwuje ten świat i odkrywa go dla siebie, zaczyna go nawet powoli osadzać.

Jak już powiedziałam Slesicki po-

stał w „Ruchomych piaskach” wiersz swemu widzeniu świata, toteż i w tym filmie przyroda partneruje człowiekowi. W tym przypadku, pozwala człowiekowi w pogodnej wakacyjnej dnie być trochę bardziej sobą, a właściwie pomarzyć o tym czym i kim w życiu codziennym być nie można. I nawet moment wyrwania z tych marzeń nie jest zbyt smutny. Obraz cudów przyrody, która zostaje, gdy my z naszymi smutkami odchodzimy, działa kojąco. Wakacje były piękne, choć ojciec, syn, a także i dziewczyna przeżyli swe małe smutki i rozczarowania. Każde z nich wróciło z tych wakacji bogatsze o jeszcze jedno doświadczenie. A niezmienność w swym pięknie przyroda została i zawsze można do niej powrócić.

Uważam, że „Czekając na życie” godnie kontynuuje świetne tradycje filmów tzw. szkoły angielskiej. Za pewną sensacyjnością tematu kryją się treści i myśli bliskie zbuntowanemu „gniewnym” twórcom angielskiego filmu. Jednym z podstawowych walorów filmu Loacha jest pewien dokumentalny sposób widzenia ludzi żyjących w domach i na ulicach bogatej Anglii zyciem, które nawet nie jest oczekiwaniem.

EWA NURCZYŃSKA

Kto, co, kiedy?

relacje
niedyskrecje



Giacomo Manzù. (1968)

RZEŻBY I RYSUNKI MANZU W BORDEAUX

W muzeum w Bordeaux wystawia swe rzeźby i rysunki włoski artysta Giacomo Manzù. Urodzony w 1908 r. w Bergamo, Manzù od dziecka wychowywał się w atmosferze artystycznych tradycji tego miasta. Pierwsze swe wystawy Manzù urządził już w czasie studiów artystycznych. W czasie wojny zaszył się w zapadłej wsi, gdzie tworzył rzeźby o tematyce religijnej. Po wojnie, na pierwszym biennale w Wenecji, Giacomo Manzù otrzymał Wielką Nagrodę w dziedzinie rzeźby. Mając lat czterdzieści jest już sławny i zdobywa po ważne zamówienia. M. in. rzeźbił jedne z drzwi bazyliki św. Piotra w Rzymie. W twórczości swej wypracował sobie własny styl oparty na tradycjach klasycznych, nie ulegając nigdy żadnym modom i nowatorskim prądom w sztuce.

Giacomo Manzù, znając osobliście papieża Jana XXIII, pochodzącego także z Bergamo, cieszy się jego sympatią i opieką. Na zlecenie papieża wykonuje szereg prac rzeźbiarskich. Wkrótce rzeźbiarz otrzyma wiele zamówień m. in. dla Nowego Jorku, później dla jednego z kościołów w Rotterdamie tworzy drzwi o temacie „Wojna i pokój”. W roku

1966 otrzymuje za swą twórczość Leninowską Nagrodę Pokoju, a jego dzieła wystawiane są w Nowym Jorku, Berlinie i Moskwie.

Obecna wystawa w Bordeaux jest pierwszą tego artysty we Francji. Obok szeregu rzeźb, m. in. interesującej serii pod ogólnym tytułem „Kochankowie” artysta przedstawił także swe rysunki.

CZAJKOWSKI I GRIEG

W Nowy Rok 1888 w Lipsku na obiedzie u skrzypka Adolfa Brodzkiego spotkali się dwaj wielcy kompozytorzy. Rosjanin Piotr Iljcz Czajkowski i Norweg Edward Grieg. Znajomość zawarta w tym dniu stała się zaczątkiem wieloletniej przyjaźni. Czajkowski pisał później swe wspomnienia z zagranicznych podróży, w ciepłych i serdecznych słowach kreślił będzie sylwetkę Griega i z uznaniem wyraził się o jego kompozytorskiej twórczości.

Zachowało się sześć listów Czajkowskiego do Griega. I tak w liście z Paryża z dnia 2 marca 1888 roku napisał m. in. Czajkowski do swego norweskiego przyjaciela: „Czy Pan wie o tym, że jest

Pan bardzo znany w Paryżu? Prawie na każdym koncercie wykonują któryś z Pańskich utworów...”, a w liście wysłanym z Rosji w dniu 8 (17) września 1888 r. pisał: „Moskwićcy byłiby bardzo szczęśliwi, gdyby mogli Pana widzieć i słyszeć. Jeśli Pan mógłby przyjąć tę propozycję, byłoby najlepiej, gdyby wziął Pan udział w koncercie 28 listopada. Bardzo Pana proszę o szybką odpowiedź. Napisałem nową symfonię i uwerturę „Hamlet” (nie jest jeszcze wprawdzie zinstrumentowana). Te uwertury poświęciłem Panu...”

W wiele lat potem, gdy Czajkowski już nie żył, Grieg w swym dzienniku wspominał będzie z serdecznością i rozrzedzeniem przyjaźń z Czajkowskim, która zaczęła się owego pamiętnego pierwszego dnia roku 1888 w Lipsku.

93-LETNI AKTOR NA SCENIE

Reżyser włoski Giorgio de Lullo przygotowuje na scenę mediolańską La Scali „Króla Edypa” Sofoklesa.

W roli Tezejusza wystąpi znany aktor Tumiat, który nie występował już od 1957 roku, a który ma 93 lata. Role króla Edypa zagra Giorgio Albertazzi.

AMBASADOR POETA

Ambasador Wenezueli w Danii, Vicente Gerbasi, jest poetą. Ostatni swój zbiór poezji wydał w zeszłym roku. Gerbasi jest laureatem Wielkiej Nagrody państwowej Wenezueli.

CHARLIE CHAPLIN KANDYDATEM DO LITERACKIEJ NAGRODY NOBELA?

Duński poeta Plet Heim zwrócił się do Szwedzkiej



Akademii z propozycją, aby literacka nagroda Nobla została przyznana Charlie Chaplinowi, ponieważ — jak twierdzi wnioskodawca — słynny filmowiec jest także pisarzem autorem scenariuszy, które w swych literackich walorach przypominają twórczość dramatyczną Szekspira i Ibsena.

Charlie Chaplin 16 kwiecień obchodził swe 80-te urodziny. Dzień ten spędził w gronie swej rodziny nie zgadzając się na organizowanie żadnych uroczystości przez władze miasta Corsier-sur-Vecvey, ani przez władze kantonu Vaud w Szwajcarii, gdzie mieszka od siedemnastu lat.

Cały świat artystyczny i liczni wielbicieli wielkiego aktora i filmowca dają wyraz swego uznania i

szacunku z okazji jubileu

Na ekrany Paryża wszedł właśnie film „Cyrk” zrealizowany przez Charlie Chaplina w roku 1928.

ANTOINE FARMEREM

Długowłosy śpiewak, występujący na estradzie w słynnej kosciołowej w kwiat-



W NASTĘPNYM NUMERZE „ODGŁOSÓW”

- ★ O GREKACH, GÓRNIKACH I PEWNEJ KARIERZE — pisze Andrzej Makowiecki.
- ★ NIEZAPOMNIANY ROK 1936 — Feliksa Bąbola.
- ★ O CYWILIZACJI I CHOROBYCH PSYCHICZNYCH — rozmowa z prof. dr St. Cwynarem.
- ★ CO BĘDZIEMY CZYTAĆ W TYM ROKU? — pisze Adam Nonas.

Bez strachu

LAD I NIELAD

Do ładu należą konstelacje gwiazdne, odwieczne obroty planetarno-słoneczne, przypiły i odpływy morza, do ładu należą także — dobrze wybrukowana ulica, którą idę do pracy i na spacer (praca i spacer zresztą należą także do ładu), budynek, w którym mieszkam, promienie zagiętego do mnie przez okno słońca. Widzimy więc, że ład zawiera w sobie elementy przedłudzkie (konstelacje gwiazdne, odwieczne obroty planetarno-słoneczne, przypiły i odpływy morza, promienie słońca) oraz elementy ludzkie (dobrze wybrukowana ulica, praca i spacer, budynek, w którym mieszkam). Do nienładu należą burze niszczące budynki, fale wezbranego morza zatapiające łódź, słońce kiedy tak piecze, że ludzie giną z pragnienia, że wybrukowana ulica, na której potykam się i wpadam pod samochód, zniszczony budynek, z którego muru wypada cegła i rani mnie boleśnie. Wzrost ludzkości, powstanie bowiem z dzieł ludzkich jako składniki ich konstrukcji, lub produkty ich rozpadu (złe wybrukowana ulica, na której potykam się i wpadam pod samochód, zniszczony budynek, z którego muru wypada cegła i rani mnie boleśnie). Wszelki ład nawet ład przedłudzki jest jednak humanistyczny, bowiem człowiekowi, ład przedłudzki został uczciwie czony, obłaskawiony, nie jako — ład ściśle ludzki został stworzony przez człowieka. Natomiast żywioły niszczycielskie — żywioły nienładu nawet jeżeli powstały z woli człowieka są nienludzkie. Najdalsza gwiazda świecąca nam w nocy jest składnikiem ludzkiego (uczłowieczonego) ładu — natomiast wyprodukowana przez człowieka bomba jest elementem nienludzkiego, elementem nienładu. Żyjemy w ładzie stworzonym przez człowieka, bądź uczłowieczonym — ginimy w nienładzie stworzonym przez człowieka i odczłowieczonym, bądź nie ludzkim od zarania. Jak dalece splecione są ze sobą życiodajne elementy ładu i niszczycielskie elementy nienładu: oto spożyłam rybę i żywię się jej mięsem — oto lykam ość i kaleczę boleśnie krtań, odcierając się o śmierć i chorobę. Wszystko to co nas otacza, co przeleka, przez palce jest życiodajne lub śmiercionośne i nie ma tu bytów neutralnych. Być to znaczy pomnażać lub niszczyć nasze życie i nie ma dla nas innych kategorii istnienia. Świat walczy z nami i świat walczy z nami i my ludzie dzielimy się, dziel się każda jednostka przypadając do życiodajnego ładu i do śmiercionośnego nienładu. Oto tkan ka jednego z moich narządów przystała do nienładu rakowaciejąc, odkształdając się. Wszystkie narządy mego ciała, które pozostały wiernie ideal ładu podjęły z nią walkę o moje życie. Nastawcie dobrze uszy a usłyszycie zgiełk olbrzymiej bitwy, która toczy się wokół nas i w nas w każdej drobinie przestrzeni i czasu.

BERNARD SZTAJNERT

Goscie

(dokończenie)

To był Marek Hunt, przebity sztyłem w serce w czasie, gdy usiłował obrabować własny dom.

— Jak pan widzi — wyjaśniał Cutler następnego dnia do ktorowi Gideonowi Fell — największy kłopot jest właśnie w tym, że z którejś strony bada się ten wypadek, zawsze okazuje się, że wszystko nie ma żadnego sensu.

— Inspektor Hadley — zauważył po chwili doktor Fell — chce, abym przyjrzał się bliżej tej sprawie. Zajmuję się tym także policja miejscowa, prawda?

— Tak. Właściwie ograniczam się tylko do roli widza.

— Hadley powiedział dosłownie: „Wydarzenie jest tak absurdalne, że tylko pan może tu dojść do jakiegoś końca”. Niech mi pan powie, sierżancie, czy nie więcej dziwnego nie uderzyło pana w tym zdarzeniu?

— Ciągłe myśle, dlaczego czło wiek miałby obrabowywać same go siebie.

— Nie, nie, nie! — wykrzyknął dr Fell. — Niech pan nie daje się opętać tej myśli! Jest pan jakby zahipnotyzowany. Ciekawą na przykład uwagę po czyniła panna Davis. Jeżeli Marek Hunt nie chciał powiedzieć, dlaczego zależało mu na tym, aby mieć w willi detektywa — to jak wytłumaczyć fakt, że po licy zezwoliła panu na pobyt w willi?

— Ponieważ inspektor Ames myślał, że Hunt knuje jakąś nieczytą kombinację — i był zdecydowany w tym przeszkodzić.

— W jakim sensie — nieczytą kombinację?

— Sądził, że Hunt chce zainscenizować kradzież własnych obrazów, aby następnie pobrać sumę asekuracyjną. Wydawało się, że Hunt postanowił uciec się do starego triku — to znaczy uciec się do pomocy policji, aby odwrócić podejrzenia. I ja tak sądziłem, dopóki się nie dowiedziałem (a teraz nawet mam dowody), że żaden z tych przeklętych obrazów nigdy nie był zaasekurowany.

— Nie można także, jak sądzi — sugerował Cutler — uważać tego wszystkiego za żart, który źle się skończył. Plan był by zbyt skomplikowany, niech pan pomyśli: Hunt wkłada na siebie stare ubranie, z którego została zdjęta etykiетка krawca i znak pralni. Zakłada rękawiczki i maskę. Zabiera z sobą lampkę elektryczną i dobrze wyposażoną torbę z narzędziami. Wychodzi z domu służbowym wejściem. Później znaleźliśmy drzwi otwarte. Pali wielką ilość

papierosów w krzakach swego ogrodu. Przecina szybę... Zresztą — to wszystko już panu mówiłem.

— A później ktoś go zabija — dokończył Fell.

— Właśnie. To jest najbardziej zagadkowe — dlaczego ktoś go zabija?

— Czy są jakieś poszlaki?

— Wszystkie negatywne. Według orzeczenia lekarza sądowego Hunt zmarł na skutek rany w sercu zadanej nożykiem do owo ców. Ostrze jest tak cienkie i delikatne, że trudno było zidentyfikować ranę. Znalezione także odciski palców Hunta — i nikogo więcej. Jest tu pewna trudna do wytłumaczenia sprawa. Różne sztuki srebrnego serwisu, wyłożone na kreden sie, miały dziwne zadrażnienia. Można by logicznie wnioskować, że nie zostały zrzuczone z kredensu podczas bójki, lecz ktoś je specjalnie ułożył w stosie, jedna sztuka na drugiej i następnie stos zepchnięto z kredensu.

Cutler przerwał, widząc, że doktor Fell kiwa głową z niezadowoleniem, czy dezaprobatą.

— Dobrze już, dobrze. I to pan nazywa negatywnymi poszlakami?

— Czyż tak nie jest? W żadnym sensie nie wyjaśniają, dla czego ten człowiek chciał obrabować własny dom.

— Niech pan mnie posłucha — zaczął doktor Fell. — Chciałbym zadać panu pytanie: jaki jest najważniejszy punkt w tej sprawie? Nie powiedziałem najciekawszy — lecz najważniejszy. I boję się, aby nie został zlekceważony. Bo was nie interesuje. Wy zajmujecie się tylko bezsensowną komedią przebiegania się zmarłego. Dlaczego nie szukacie rozwiązania problemu wychodząc z innego punktu — mianowicie odpowiedzi na pytanie kto zabił Hunta?

Przez dłuższą chwilę Cutler zastanawiał się, nie odpowiadając na zadane pytanie.

— Należy tu wykluczyć służbę — oznajmił Cutler — spi w oddzielnym skrzydle na najwyższym piętrze. I co najdziwniejsze — wczoraj wieczorem ktoś ich zamknął od zewnątrz. Powstało wielkie zamieszanie, gdy się obudzili. Naturalnie, zbrodniarz mógł wtargnąć spoza domu.

— Ale pan chyba dobrze wie, że tak nie było — odparł doktor Fell. Czy nie zechciałby mi pan towarzyszyć do willi Cranleigh Court?

Wyszli na taras. Była gorąca i sucha godzina popołudniowa. Henderson denerwował się.

— Na próżno pytałem mnie cią gle dlaczego Hunt chciał obrabować własne mieszkanie. Szukając wyjaśnienia tego faktu twierdzi, że musiała tu zaistnieć naprawdę poważna przy czynna. Hunt był zbyt ostrożny, aby coś czynić bez poważnej racji. Wczoraj, w czasie gry w pokera, jego posunięcia były niezwykle ostrożne, kilkakrotnie wycofywał się, choć były możliwości wygranej.

— Henderson chciał się roześmiać, lecz spojrzawszy na twarz Harriet, pohamował się i spoważniał.

— Zresztą — dodał — jest jasne, że wczoraj musiał mieć coś innego w głowie.

Wszyscy zauważyli, że ton jego głosu zmienił się.

— Ach tak? A co miał na myśli, według przypuszczeń pana?

— Chciał zdemaskować kogoś, komu dotąd zawsze ufał. Dlatego tak się wczoraj spieszyłem, gdy po raz drugi wyszedł w kartach as pikowy.

— Byłoby dobrze, gdyby pan to wyjaśnił — wtrąciła Harriet po chwili ciszy. Nie wiem, do czego pan czyni aluzję. Czy to wujek powiedział panu, że chce kogoś zdemaskować, komu zawsze ufał?

— Wyraźnie nie powiedział, ograniczył się tylko do niejasnych aluzji, tak jak ja w tej chwili.

W tym miejscu zabrał głos Artur Rolfe. Mówił energicznie i zdecydowanie.

— Słyszę ciągle dużo gadania o tym i o owym, a także o manii demaskowania ludzi, którą jakoby ogarnięty był pan Hunt. Bardziej dobrze! — To mówiąc wsunął rękę pod kłapkę marynarki charakterystycznym sobie gestem. — Lecz to wszystko, moi państwo do jakich rezultatów nas doprowadzi? Chce kogoś zdemaskować, zgoda. Lecz aby to uczynić, czy musi przebiegać się dziwnie, maskować na rabusia? Czy wydaje się wam to logiczne? Hunt zwirował, wierząc mi! Nie widzę innego wyjaśnienia.

— Jest jeszcze pięć innych — zaoponował doktor Gideon Fell. — Nie będę jednak tracił czasu na wylizywanie wszystkich. Tylko jedno wyjaśnienie interesuje mnie w tej chwili — to prawdziwe.

— A czy pan je zna? — zapytał Henderson, wstając z parapetu balustrady.

— Myślę, że tak.

— Od kiedy?

— Od tej chwili, gdy mogłem was tu oglądać wszystkich razem, twarzą w twarz — odpowiedział poważnie doktor Fell.

— Rozmawiałem już z inspektorem miejscowej policji. Przyjedzie tu za kilka minut. Zwróci się do was wszystkich z pewną prośbą, mam nadzieję, że nikt nie zechce odmówić.

— Pan inspektor proponuje, abyście wszyscy zanurzyli się w wodzie basenu i popływali sobie.

— Będzie to najdoskonalszy sposób — wyjaśnił Fell — aby sięgnąć uwagę na zabójcę. W międzyczasie przedstawię państwu pewien szczegół, który uszedł uwagi wszystkich. Panie Henderson, czy pan zna się na ranach zadanych w serce cienkim stalowym ostrzem?

— W typie rany Hunta? Nie, nie znam się. Co w nich szczególnego?

— Charakterystyczne jest, że w takich wypadkach nie ma wylewu krwi z zadanej rany. Ofiara natychmiast umiera, a brzęgi rany ścigają się. W omawianym przypadku zadawał mi się pytanie, dlaczego biedny pan Hunt miał tyle krwi na swetrze — i nawet na spodniach. Prawda?

— Więc jak to rozumieć?

— Otóż stwierdzam, że krew na ubraniu nie była krwią pana Hunta — wyjaśnił spokojnie doktor Fell.

— Nic z tego nie rozumiem —

zaprotestowała Harriet, zrywając się z kanapki. Przecież widzieliśmy go wyciągniętego o bok kredensu i zbroczonego krwią!

— Tak, moja droga, widzieliście go.

— Pozwólcie doktorowi mówić dalej — wtrącił Henderson — posłuchajmy także reszty.

— W tym jest także odpowiedź na wasze ciągle — aż do znudzenia — powtarzane pytanie: dlaczego tak rozsądny czło wiek, jak pan Hunt, postanowił przebrać się za złodzieja i odegrać rolę złodzieja? Odpowiedź jest prosta i krótka: pan Hunt tego nie uczynił.

Teraz sprawa winna być jasna dla wszystkich, — ciągnął dalej doktor Fell, lustrując bacznie obecnych — że Hunt kombinował zastawienie na kogoś pułapki, to znaczy na prawdziwego złodzieja. Był bowiem przekonany, że pewna osoba będzie usiłowała zrabować jeden z jego bezcennych obrazów, a może i więcej. Prawdopodobnie wiedział, że ta sama osoba czy niła już podobne próby w innych majątkach ziemskich — gdzie kradzież dokonana przez osobę wewnątrz budynku została tak zainscenizowana, iż przed stawiała się jako dzieło kogoś z zewnątrz domu. Hunt ułatwił sytuację złodziejowi, zrobił to celowo. Spodziewał się, że przy łapie go na gorącym uczynku przy pomocy policjanta, zaproszonego do willi jako gościa.

Złodziej, trzeba przyznać, dość głupi, połknął przynętę. Będąc także gościem tego domu, czekał aż do pierwszej godziny w nocy. Potem przebrał się w starą odzież, wziął maskę, beret i resztkę. Wyszedł drzwiami służbowymi. Uczynił to wszystko, co później mylnie zostało przypisane Markowi Huntowi i wreszcie pułapka zatrzasnęła się. Właśnie kiedy zwirował obraz Rembrandta, usłyszał szmer. I nagle znalazł się twarzą w twarz przed Huntem, który mu się przyglądał.

Tak, walka tam była. Hunt rzucił się na złodzieja. Ten, chcąc się bronić, schwylił nóż do owoców. Hunt odepchnął u brojoną rękę przeciwnika. Ostrze nożyka zraniło pierś złodzieja. Było to uderzenie powierzchniowe, lecz krew polatała się obficie. Zasklepiony wściekło ścią złodziej ścisnął rękę Markowi, podniósł z ziemi nóż i wbił mu go w serce.

Jest jeszcze noc, jadalnię oświetla lampka elektryczna położona na kredensie. Złodziej czuje się zgubiony, krew zbroczyła całe jego ubranie. Jak uwolnić się od tych szmat? Nie może ich zniszczyć, ani schować. Niewątpliwie, dom zostanie przetrząsnięty od pinie do strychu. I to ubranie — z tymi plamami krwi! Pozostaje mu tylko jedno wyjście.

Harriet Davis stała za kanapą wiklinową. Głos jej nawet nie zdradzał, gdy powiedziała: — Zamień swoje ubranie z ubraniem mego wuja.

— Istotnie, — potwierdził doktor Fell — tak się też stało. Zbrodniarz przebrał trupa we własne ubranie, podziurawił nożem sweter i koszulę. Następnie włożył piżamę i szlafrok, który miał na sobie Hunt. W najgorszym wypadku mógł za-



Fot. W. Parys

wsze powiedzieć, że to jego własność. Głównym smartwieniem złodzieja mogła być dziurka w marynarce piżamy.

Teraz należało wytworzyć u wszystkich przekonanie, że nie było czasu na wymianę odzieży, że walka wypadła w tym momencie, kiedy hałas obudził cały dom. Dlatego zepchnął na ziemię stos srebrnych naczyń i szybko umknął na górę.

Doktor Fell wytarł chusteczkę spoczone czoło.

— Między innymi — dodał — Marek Hunt nie mógł być złodziejem choćby dlatego, że wszędzie były jego odciski, a wiemy, że złodziej pracował w rękawiczkach.

Rozległ się odgłos ciężkich kroków prowadzących na taras. Wszedł inspektor policji a za nim dwaj agenci.

Doktor Gideon Fell wstał na powitanie przybyłych. — Ach — zawołał, oddychając swobodnie. — Więc chcecie asystować przy plywaniu, tak sądzę. Łatwo jest zatamponować powierzchowną ranę kawałkiem waty lub nawet chusteczką. Ale taka rana rzuca się gwałtownie w oczy, gdy człowiek jest zmu szony włożyć kostium kąpielowy.

— Ależ to nie może być... — krzyknęła Harriet. Obejrzała się wokół. Palce jej zacisnęły się

wokół ramienia Cutlera instynktownym gestem, który Leon wspomni niedługo, gdy dojdzie do tego, że pozna lepiej Harriet Davis.

— Istotnie — potwierdził z zadowoleniem doktor Fell. — Nie może być także mordercą młodzieniec tak wysoki jak De rek Henderson. A jeszcze mniej stworzenie tak szczuple i delikatne jak pani, panno Davis.

Jest tu tylko jedna osoba, która, jak widzimy, posiada dokładnie wzrost i budowę ciała Marka Hunta. Ta osoba mogła złożyć swoje ubranie zranie mu nie wzbudzając podejrzeń. I ta sama osoba, która chociaż opatrzyła jak mogła najlepiej swoją ranę na piersiach, ciągle jednak sprawdza czy bandaż jest na swoim miejscu. I oto czyni także w tej chwili, prawda, panie Rolfe?

Artur Rolfe siedział nieruchomo. Prawą rękę wsunął w otwór marynarki. Odezwiał się tylko raz, gdy już policjant nakładał mu kajdanki.

— Powinienem być zwrócić większą uwagę na tego chłystka. Powiedział mi, że jestem typem, który może postawić wszystko na jedną kartę.

(Opr. A. S.)



Lewym okiem

CHCEMY BRUDZIĆ PORĘCZE!

Już teraz wiemy, dlaczego kelnerzy bywają niegrzeczni, dlaczego sprzedawcy w sklepach patrzą na nas jak na powietrze, dlaczego mamy brudne poręcze i szyby na kłatkach schodowych. Dlatego, że ludzie chcą być równi. Nikt nie chce myć poręczy, każdy woli je brudzić, bo dopiero wtedy czuje się wyzwolony. Kelner nienawidzi gości, dokoła którego musi biegać z talerzami, gdy tamten siedzi, je i jeszcze grymasi. Sprzedawca nie gędzi się na determinowanie jego pozycji jako służebnej, niższej, podległej w stosunku do pożyczki klienta, manifestuje swoją równość niegrzecznym burknięciem, rzuceniem towaru na wagę jak psu, od czekaniem pół minuty dłużej niż trzeba z odpowiedzią na dodatkowe pytanie z tamtej strony lady.

Ludzie chcą być równi — tymi słowami wyjaśnia sprawę J. Wilhelmi w „Kulturze” z 20 kwietnia. Wyjaśnia jako zdobywcę ustroju, może nawet godną podkreślenia w związku ze zbliżającym się świętem 1 Maja. A w czytelniku budzą się niejako rozterki i niepokoje.

Chyba tak właśnie niestety jest, jak mówi J. Wilhelmi. „Niestety” oczywiście nie dlatego, że ludzie chcą być równi, tylko dlatego, że tak właśnie pojmują równość i tak chcą ją realizować: manifestowaniem na każdym kroku swojej obolałej, niedotykanej ambicji, swojego „a cóż to pan dla mnie?”

Coś tu domaga się dopowiedzenia. Nie myślę, że przyjemne jest spełnianie wszystkich postług przy chorym, przykutym do łóżka. Co by jednak było, gdyby pielęgniarzy i salowe uznali, że to są czynności poniżające, dzielące ludzi na kategorie służących i obsługiwanych? Co by było, gdyby przedszkolanka wściekała się na malucha, bo on nie tylko bawią i wrzeszczą, a ona musi skakać koło nich i nosy ucierać? A krawcowa, kłękająca przed klientką ze szpilkami w ustach? Czy optymistyczny fakt, że ludzie chcą być równi, musi „znaczyć”, że krawcowa i przedszkolanka będą coraz gorzej? Dlategoż to uprzejme podanie do stołu przez panią czy pana domu gościowi jest w świadomości

społecznej przyjemnością, a podanie gościowi w lokalu naraża na szwank poczucie godności osobistej? To są te same czynności, tylko raz pełnione po amatorsku, raz zawodowo. W postępującym podziale pracy coraz więcej spraw będą załatwiać zawodowcy. Obsługujący będzie za chwilę obsługiwani i na odwrót. Niechże przestaną warczeć na siebie, bo wszyscy razem damy się zwirować.

Autor felietonu w „Kulturze” ukazuje w zakończeniu sielankowy obrazek wzajemnego przepijania do siebie kucharzy i restauracyjnych gości, jako przykład właściwego „ustawienia” problemu, właściwie realizowanej równości ludzi. Mam opory co do przyjęcia takiej koncepcji. Myślę raczej, że deklinowana tu na wszystkie boki świadomość społeczna musi jak najszyciej akceptować konieczność solidnego obsługiwania nie tylko maszyn, ale i — horribile dictu — ludzi, konieczność dobrego wykonywania każdej roboty. Musi jak najszybciej przestać kojarzyć sobie słowa „usługa” z pojęciem wyzysku, pogardy, poniżenia. Pomagajmy takim zmianom w świadomości, zamiast ewokować odchodzące w przeszłość, przeżyte zbitki pojęciowe. Inaczej rzeczywistość zostaną tylko automaty. Okropność.

CWIEK